ROK LXVI.

Nr 1.

KURJER WARSZAWSKI.

1886.

KURJER WARSZAWSKI.

NUMER NOWOROCZNY.

* * *

Staruszek w progu stał z twarzą wesołą, wybierając się w drogę; węzełki jedne brał na plecy, inne pozostawiał następcy, oglądał się w koło, jakby wszystko chciał dobrze rozpatrzeć i nie zapomnieć o niczem. Poprawił pasa, pogładził brodę, kij wziął w rękę.

— Opuszczacie nas?—zapytałem.

— Odchodzę—rzekł z uśmiechem—ani ja po was, ani wy po mnie płakać nie będziecie, wszak prawda? Witaliście mnie nadziejami, żegnacie zniechęceni i rozczarowani. Stare to dzieje... Któż wam dogodzi?!

Poruszył ramionami...

— Trzysta sześćdziesiąt pięć dni przeżyć z wami—mówił dalej—pod gradem pocisków, wyrzutów, narzekań... wielkie to brzemię, i spoczynek w gmachu dziejów, gdzie mam już gotowy ciepły kątek, bardzo mi się uśmiechał...

— Przyznaj jednak — przerwałem -- że z wielu względów wyrzuty ci czynione zupełnie są usprawiedliwione.

Stary się rozśmiał.

— Poczekaj — odparł poważnie—poczekaj z sądem lat dziesiątek lub więcej. Przekonasz się wówczas, jak lekkomyślnie, pod wrażeniem chwilowem, wyrokujecie o życiu i o mnie... Właśnie to, co wy mi wyrzucacie, stanie się w przyszłości chlubą moją, to, co wam się wydaje złem, uznacie dobrodziejstwem, a to, czegoście pragnęli i z czegoście się cieszyli, pokaże się klęską... Bądźcie pewni, że żaden z moich następców nie przyniesie wam tego pieczonego gołąbka, którego u każdego nowoprzybywającego wypatrujecie w sakwach... Drogi żywota wiodą przez wydmy i przepaście, ale innych nie ma. Wszystko zdobywać trzeba pracą i płacić ofiarami...

— Przyznasz jednakże — ośmieliłem się wtrącić—że to, coście wy przynieśli nam...

Staruszek wziął się w boki.

— Bądź pewnym—rzekł—że nic nie mam na sumieniu... Przyszłość mnie oczyści i uniewinni. Przechodzicie wprawdzie drogi krzemieniste i rozbite, ale innych nie ma do góry... a do góry iść trzeba, kto nie chce na wieki zasnąć w ciemnościach. Bądźcie pewni, że gdy zło zwycięży chwilowo, to tylko aby tryumf dobra i prawdy był tem zupełniejszym.

— Przesilenie to moralne i... ekonomiczne— odezwałem się z dziecinną i śmieszną poufałością.

— Jakie przesilenie?—zapytał. — Przesilenia te trwają od początku świata i będą się ciągnąć aż do jego końca. Gdzie nie ma przesileń, nie ma życia, ani ruchu...

Położył rękę na drzwiach, spoglądając na mnie z politowaniem.

— Bądźcie zdrowi—rzekł—mój następca puka już do drzwi wesół i wy gotujecie się go witać okrzykiem radości.... Tyleż tylko wzajemnego z siebie zaspokojenia...

Raz jeszcze ramionami poruszył, sakwy z rupieciami zarzucił na plecy i zniknął...

J. I. Kraszewski.

HYMN.

(Naśladowanie z greckiego).

Otóż mieszkanie możnego człeka...
Pochwalne głosy słychać z daleka.
Jak się to piękny obyczaj święci,
Opowiadają słudzy, klijenci.
Niechże w otwarte wrota ubogim
Fortuna wchodzi ze złotym rogiem,
I nie opuszcza pańskich podwoi.
Niech śpichrze piękną mąką się bielą,
Amfory winem oko weselą,
A żadna w kącie próżna nie stoi.
Młodą synową za domu progi
Niech zaprzęg mułów wytrwało-nogi
Za miasto niesie, kiedy nad niemi
Potrząśnie zlekka lejcy długiemi,
I niech do Chios wiezie z powrotem,
Gdzie w gyneceum piękna, szczęśliwa,
To raz purpurą, to drugi złotem,
Igiełką cenną szatę wyszywa,
I w gronie młodych siedząc służących
Śpiewa, a nóżkę stawia toczoną
Na wykładany ambrą podnóżek;
Śpiewak przyniesie pieśń tę natchnioną
Pod te kolumny białe radosny,
Jako jaskółka z powrotem wiosny.

T. L.

Florencja.

DZIAD Z EWANGELIJKĄ.

Dawne to czasy, o które tu potrącam. Czasy to inwalidów napoleońskich, kwestarzy bernardyńskich i dziadów z ewangelijką pod pachą, słowem tych ludzi i tych strojów, jakich już dziś u nas nie napotkasz. Trzydzieści lat z okładem przewaliło się nad temi czasami i ludźmi i byłem wówczas malem jeszcze dzieckiem, kiedy na to wszystko patrzyłem ze szczególną ciekawością, a podobno nieraz i z trwogą, zwłaszcza kiedy ów dziad z małą ewangelijką w ręku, lecz dużą, płócienną torbą przez plecy, zjawiał się w naszym progu.

Choć po prawdzie powiedziawszy dziś, gdy go sobie przypominam, nie był on wcale straszny. Poważna broda spływała mu na piersi, w oczach miał jakąś dobroć i tęsknotę, a w książeczce, z której głosił słowo Chrystusowe, często odnalazł się ślicznie malowany obrazek, którym mię, po przyjęciu jałmużny, wzajem obdarzał.

Chodził on z małym chłopczykiem mojego mniej więcej wieku, któremu zazdrościłem wielce, że umiał zawsze w porę, gdy dziad skończył ewangelję, powiedzieć „amen", czego ja nigdy nie byłbym potrafił, choć słuchałem każdego słowa ewangelji z wytężoną uwagą i należnem namaszczeniem.

Po pacierzu i po ewangelji dziad siadał zwykle gdzieś w kącie i gawędził z czeladzią, a ja brałem owego chłopczynę za rękę i prowadziłem do pokoju, pokazując mu wszystkie moje skarby, jako to: konia, któremu brakowało już głowy, kolej, której kółek niedostawało, przedziurawiony bęben i tym podobne archeologiczne zabytki, które dla niego miały powab nowości i niezwykle go zajmowały.

Kilka razy do roku odwiedzał nas ów dziad z ewangelijką i tak się do niego przyzwyczaiłem, żem się go już później nic nie obawiał, owszem, tęskniłem nawet za nim, jeśli się długo nie pojawiał.

Trwały te odwiedziny już od dłuższego czasu: starsi przywykli do dziada, czeladź go polubiła, bo był bywalcem po świecie i różne, a ciekawe opo-

wiadał im rzeczy, a ja tak jakoś pokochałem jego wnuka, że już nie na całe godziny ale na pół dnia zabierałem go do mego pokoju, prosząc starszych, aby jego dziadkowi dali jeść i pozwolili mu wypocząć z drogi.

W roku 1854-ym do mojego dziada, u którego podówczas chowałem się na wsi, w samą wigilję Bożego Narodzenia zjechało się liczne grono dalszych i bliższych krewnych, wujów moich i ciotek, ich dzieci, a moich rówieśników, gwarno więc było i wesoło, jak rzadko którego dnia w roku. W tak powiększonem rodzinnem kole znajdował się również dziad mój stryjeczny, pan Platon, jak go zwyczajnie w domu naszym nazywano, dawny żołnierz napoleoński i niezrównany gawędziarz, którego szczerze kochałem z tej racji, że najchętniej bawił się ze mną w żołnierzy ilekroć przybył do nas w odwiedziny, uczył mię mustry i przepowiadał jeneralskie szlify. Szlify mię wprawdzie minęły, ale została na zawsze cześć dla zacnego starca, który w nie przystrajał moją fantazję dziecięcą.

Zmierzch już zapadał. Przez zamarznięte okna raz po raz wyglądano, rychło-li na niebie ukaże się pierwsza gwiazdka i da hasło do wieczerzy i do podarunków kolendowych, gdy wtem za drzwiami odezwała się nuta dobrze znanej pieśni:

W żłobie leży, któż pobieży,
Kolendować małemu...

intonowana poważnym basem, któremu wtórował cieniutki, dyszkantowy głosik.

Porwałem się od okna i otworzyłem drzwi na rozcież. Po głosie poznałem owego dziadka z ewangelijką i jego wnuczka, których nie wiem czemu powitałem teraz serdeczniej niż zwykle, jakby i oni także należeli do wspólnej naszej rodziny.

Równocześnie z owymi „zagórskimi gośćmi" wszedł nasz stary kredencerz Stępiński i postawił dymiącą wazę na stole. Spojrzałem błagalnie na mego dziadka, który snać odgadł z moich oczu zawartą w nich prośbę, bo uśmiechając się z dobrocią rzekł:

— Siadaj i zaproś twego gościa do stołu.

Naturalnie, że moim gościem był nie kto inny tylko wnuczek owego wędrownego dziadka, którego też z niemałą radością usadowiłem przy sobie.

— A wy, mój człowieku — mówił dalej mój dziadek, zwracając się do przybyłego starca—idźcie do czeladnej izby, gdzie was ugoszczą i pamiętać o was będą.

— Przepraszam cię—odezwał się dziad Platon—pozwolisz, że pierwej przełamiemy się z gościem opłatkiem i przepijemy do niego kieliszkiem.

Podano opłatek, i kiedy wszyscy wkoło łamali się nim, zamieniając ze sobą serdeczne życzenia, gdy już kieliszek gdańskiej obszedł kolejkę mężczyzn, zbliżył się pan Platon do owego wędrownego dziada, który oparty o laskę stał w rogu pokoju—i trzymając opłatek, zapytał z uśmiechem:

— A wam czego życzyć, starcze?

— Mnie panie — rzekł zagadnięty — tylko chyba tego, żebym ten krzyż, co wisi na mojej piersi, zamienił jaknajrychlej na krzyż drewniany na moim grobie.

Dziad mój spojrzał bystro na starca. Dawny wojskowy pasjami lubił starych wiarusów, którzy mu przypominali czasy minionej, a tak świetnej młodości. Utopił w niego pałające źrenice, a on stał przed nim dumny, wyprostowany, jedną rękę mając opartą o laskę, drugą wskazując na piersi, na których wisiał na przybrukanej wstążeczce błyszczący, jak ta gwiazdka betleemska, krzyż *virtuti militari*.

Obaj starcy patrzyli już na siebie dłuższą chwilę, jakby badając się wzajem, jakby szukając jakichś wspomnień w zmąconej pamięci, a w twarzach obydwóch malowało się dziwne, niepojęte dla nas wszystkich wzruszenie.

Naraz posłyszałem brzęk rozbitego talerza. To dziadek mój Platon upuścił talerz, na którym spoczywał opłatek, i głosem, któregobyś darmo szukał na całej skali tonów, głosem, który aż gdzieś z pod serca się dobywał, zawołał:

— Sikora!

Wstrząsnął się na całem ciele zagadnięty i prostując jeszcze bardziej swą postać, powoli, jakby niepewny jeszcze swego, lecz silnym i dźwięcznym głosem, tak różnym od tego kantyczkowego tonu, jaki zwykle przybierał, odpowiedział:

— Do usług, wielmożny kapitanie.

— Tu, do mnie, stary zuchu!—zawołał dziad mój, otwierając ku niemu swoje ramiona — tu, do mnie, stary towarzyszu broni!...—i reszta słów uwięzła mu snać w gardle, bo nic już więcej nie mógł powiedzieć, jeno długo, długo przyciskał go do piersi. A potem, kiedy ochłonął z pierwszego wrażenia, zaczął szybko, jakby mu czasu nie stało, wymieniać miejsce po miejscu sławnych bitew, wielkich zwycięstw i klęsk strasznych... Padały więc co chwila, jak rakiety, wyrazy: Moskwa, Berezyna, Lipsk, Drezno—i

Zaczęła się ta prędka, zmieszana rozmowa,
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa.

I kiwali obaj starcy głowami, i pokręcali siwego wąsa, wzdychali, to znów uśmiechali się naprzemian, a my, spoglądając na nich ciekawie, choć nie mogliśmy pojąć wszystkiego dokładnie, mimowoli także ulegliśmy ogarniającemu nas wzruszeniu.

Wreszcie dziad mój rozwiązał zagadkę. Wziął za rękę starego wiarusa i podprowadzając go do stołu, rzekł donośnym głosem:

— Przedstawiam wam mojego kolegę z wojska, Mateusza Sikorę, który był w moim pułku bombardjerem.

— Oberbombardjerem, kapitanie—szepnął urażony trochę tą degradacją starzec.

— A prawda, awansowałeś w ostatnim dniu bitwy pod Lipskiem; przepraszam cię, kolego, ale i ja wtedy awansowałem na majora, o czem waść może nie wiesz, alboś zapomniał.

— Przepraszam, jaśnie wielmożny majorze...

— No, więc kwita z byka za indyka, i siadaj kolego z nami do wieczerzy.

Nie pamiętam, czy która po tej wigilja była dla nas wszystkich tak wesołą, jak owa przed trzydziestu laty. Obu wiarusom nie zamykały się usta. A co w owym dniu spełniono kielichów, to niech sobie domyślny czytelnik w duszy dośpiewa, gdyż ja tego, tak jakbym pragnął, opowiedzieć nie umiem. Zostało to wszystko na dnie duszy, zamknięte jak stary węgrzyn w omszałej flaszy.

Czyż potrzebuję dodawać, że pan Mateusz Sikora, oberbombardjer napoleoński, nie potrzebował już więcej włóczyć się po świecie z ewangelijką; czyż potrzebuję mówić, że wnuczek jego pozostał na zawsze w domu mego dziadka? Tak mi się to dziś jeszcze wydaje naturalnem, jak mi się zdawało wówczas, gdym był małem chłopięciem.

Tylko dziad Platon nie mógł się temu wydziwić, jak stary wojskowy wyga mógł zejść do roli apostoła.

— Widziane to rzeczy! — wołał, udając zgorszenie—aby stary bombardjer opowiadał ewangelję po świecie!... Kulami tuczyć ci armaty, a nie godzinki śpiewać...

— Jaśnie wielmożny majorze, tyle się nawojowało na świecie, że nie grzech za tych co od kul naszych polegli, zmówić czasem wieczne odpoczywanie.

— A więc *requiescant in pace* i twoje zdrowie mój zuchu!

W. Bełza.

PRAWO BEZWŁADNOŚCI.

(Vis inertiae).

Każdego, kto zechciał kiedykolwiek porównać zjawiska, zachodzące w świecie materjalnym z objawami psychicznemi, musiały częstokroć zastanawiać uderzające podobieństwa, istniejące pomiędzy niemi. Całe szeregi tych podobieństw znalazły wielokrotnie piękny swój wyraz w metaforach, alegorjach i przenośniach poetycznych, w których rozmaite stany umysłu i usposobienia bywają porównywane do objawów w otaczającej przyrodzie. Z doszukiwania się tego rodzaju podobieństw wyniknąć może czasami nietylko estetyczna korzyść, nietylko zadowolenie wrodzonych człowiekowi potrzeb i pragnień piękna; kto wie, czy nie mogą one posłużyć nawet do odkrycia nowych prawd, prawd naukowych, niezbitych, takich, jakie zazwyczaj zdobywamy mozolnemi dedukcjami, całemi szeregami starannie ułożonych sylogizmów.

„*Comparaison—n'est pas raison*" mówi francuskie przysłowie, lecz prawda w niem zawarta jest tylko względną. Bywają przykłady, jak na to zwrócił uwagę wielki Maxwell *), iż *dobre* porównanie może w całości zastąpić rozumowanie, zapewnić nam całą jego niewzruszoność i ułatwić pochód w dążeniu do prawdy. Taki sposób rozumowania za pomocą używania porównań, oddaje wielkie przysługi przy badaniu tych właśnie zawiłych i trudnych zjawisk, w których bezpośrednie rozmyślanie nad badanym przedmiotem nie może nas doprowadzić do celu, ze względu na niski stan naszych wiadomości. By jednak tą drogą trafić do celu, należy zawsze mieć na pamięci dwie uwagi, zrobione przez J. C. Maxwella. Po pierwsze: porównanie nie powinno nigdy wychodzić z granic podobieństwa, czyli powinno być trafnem; po drugie: należy zawsze pamiętać, że podobieństwo nigdy nie powinno dotyczeć porównywanych przedmiotów, lecz tylko stosunków, w jakich te przedmioty stoją do siebie. Wtedy możemy być pewni, że rezultat rozumowania w obu razach będzie jednakowy. W celu objaśnienia sprawy, weźmy przykład, zaczerpnięty z Maxwella.

*) *An elementary treatise on electricity and magnetism by J. C. Maxwell.*

Możemy wcale nie liczyć (czyli nie rozumować konsekwentnie) kupując 52 jardy sukna po 7 szylingów za jard, jeśli tylko będziemy pamiętali, że rok zwyczajny ma 365 dni i że jest o dzień dłuższy od 52 tygodni, z których każdy ma 7 dni. Wtedy możemy być pewni, że ilość szylingów, należnych za sukno, będzie o jeden mniejsza od ilości dni w roku, chociaż z tego nie wypływa, aby jard sukna był podobnym do tygodnia, aby szyling był podobnym do dnia, a kwota płacona — do roku. Podobieństwa między przedmiotami (lub pojęciami) nie ma, jest tylko tożsamość stosunków, w jakich stoją do siebie przedmioty (lub pojęcia).

Tych kilka uwag przytoczyłem umyślnie, aby jaknajwyraźniej zastrzedz się co do pojmowania przenośni, jaką można zrobić w sferze mechaniki z jednej, a objawów w życiu społecznem z drugiej strony.

Kilkaset lat temu Newton spostrzegł, że materja jest bezwładną, że pozostaje w spoczynku lub porusza się niezmiennym monotonnym ruchem dopóty, dopóki jakaś siła jej stanu działaniem swem nie zmieni. Ta niesłychanie płodna w nauce prawda znaną jest pod nazwą prawa bezwładności, albo pierwszego prawa mechaniki. A to, co jest prawdą w sferze zjawisk materjalnych, daje się w granicach wielkiego podobieństwa przenieść do zjawisk życia społecznego. I ludzie i narody radeby zawsze żyć po staremu, ni pojęć swych, ni form bytu nie zmieniać; są masą bezwładną, tak samo jak materja. Pojęcia nowe, kiełkujące w miarę zmieniających się warunków bytu, odgrywają względem tej bezwładnej masy taką samą rolę, jaką odgrywa siła, zmieniająca spoczynek materji na ruch, lub wywołująca zmianę w kierunku lub prędkości ruchu. Im większą jest siła, tem raptowniejszą, tem gwałtowniejszą jest zmiana w stanie materji; im potężniejszym jest nacisk okoliczności, tem szybciej i gwałtowniej stare pojęcia i stare formy bytu ustępują miejsca nowym, tem prędzej powstają nowe kierunki myślenia, nowe rodzaje pracy, nowe na życie i jego zadania poglądy.

I my nie stanowimy i stanowić nie możemy pod tym względem wyjątku. I nas siła okoliczności długo przeć musiała, zanim powolnie wyrobił się pogląd, że praca jest bohaterstwem, a cywilizacja, jaknajgłębiej i jaknajściślej pojęta, największem narodowem dobrem i nabytkiem. A jak powolnie, z jakim trudem wytwarzają się takie poglądy, tego wymowne przykłady przedstawia nam każde pole działalności, każda sfera pojęć. Rozpatrzmy jeden, który znam nieco bliżej.

Od stu lat niemal uznaną została na zachodzie konieczność doświadczalnego badania wszelkich kwestyj naukowo-przemysłowych; od stu lat pozakładano w Europie setki całe pracowni technicznych, fizycznych, o charakterze bądź czysto-naukowym, bądź stosowanym. O konieczności doświadczalnego badania przyrody i u nas niejednokrotnie mówiono, pisano i rozprawiano. Podpisany od lat dziewięciu nie pomijał żadnej literalnie sposobności publicznego przemawiania, aby nie przypomnieć ogółowi, że istnienie u nas pracowni naukowo-technicznej jest niezbędnem, nieodbicie potrzebnem. A jednak sprawa cała, aż do roku ubiegłego pozostawała w tej samej fazie, w której była dziewięć lat temu, gdy ją po raz pierwszy poruszyłem; bezwładność była zbyt wielką, a pobudki zbyt słabe, aby mogły wywołać jakikolwiek ruch. Dopiero w końcu roku ubiegłego, dzięki czynnej i ofiarnej działalności dra L. Natansona, dzięki życzliwości Muzeum przemysłu i rolnictwa, powstaje przy temże muzeum pracownia fizyczno-techniczna, w której już za kilka miesięcy rozpoczną się prace, jak na teraz głównie z działu elektrotechniki, tak szybko i tak zadziwiająco prędko rozwijającej się u sąsiadów, właśnie dzięki działalności podobnych pracowni.

I w tem zjawisku powstania pracowni, równie jak w każdem innem, obojętność ogółu była bezwładnością, stan rzeczy wymagający jej istnienia—siłą, a stopniowo zwiększające się zainteresowanie tą sprawą—przyśpieszeniem, które bodajby w roku przyszłym i latach następnych było równie dużem, jak pod koniec ubiegłego roku. Gdyby się to pragnienie ziściło, to niewątpliwie za lat kilka lub kilkanaście korzyści z istnienia pracowni stałyby się namacalnemi, a będą one tem większe, im większa liczba osób sprawę pracowni do serca weźmie i do jej rozwoju czynnie się przyłoży.

J. J. Boguski.

Na fujarce.

Kasia nic i Saś nic,
Kasia grzybek, a Saś rydz;
Tak im ludzie głowy suszą,
Już się chyba pobrać muszą;
Hu... ha!...

Kasia cyt i Jaś cyt,
Kasia rozum, a Jaś spryt;
Kochają się z strasznej mocy,
Będzie ślub po Wielkiejnocy;
Hu... ha!...

Kasia myk i Jaś myk,
Kasia wicher, a Jaś smyk;
Kasia tędy, Jaś owędy,
Nie zerwano ruty z grzędy!
Hu... ha!...

Alf.

Krytyk i wydawca.

Wprawdzie „jeszcze się ten nie urodził, ktoby wszystkim dogodził", lecz mimo tej starej prawdy bywają ludzie dla różnych „niezadowolonych" względnie pobłażliwymi. Jeden tylko krytyk musi zawsze pokutować, czy chwali, czy gani.

Gdy gani, to oczywiście za wiele, gdy chwali, to zawsze za mało.

Poświadczą mi koledzy w niewdzięcznem rzemiośle krytycznem, że wszelkie ich usiłowania nie odniosły nigdy pożądanego przez nich skutku.

Gdy postanowili być przedmiotowymi aż do wyrzeczenia się osobistych przekonań, nazwano ich obdzieraczami ze skóry, oprawcami i t. d. Zwolniwszy w zapale uczciwości literackiej, narazili się na zarzut protegowania swoich przyjaciół, a nawet sprzedajności.

Nic nie pomoże. Czy się robi tak, czy owak, wołają zewsząd: ukrzyżuj go, zabij, powieś!

Z autorami jeszcze pół biedy. Każdy z nich może się przy danej sposobności „zemścić" na niepożądanym doradcy, a nadzieja odwetu osładza zawsze gorzką pigułkę, czyni ją gładszą do połknięcia.

Ale ci wydawcy! Któżby zadowolnił tych „panów Libulanych", tych... trumniarzy w państewku zachwytów i myśli ludzkich!

Każda książka, to trumna, ukrywająca w sobie szczątki jakichś marzeń, dążeń, radości i smutków. Zwłoki daje autor, a deski wydawca.

Przez pewien czas patrzą jeszcze ludzie na świeżego trupa i ładny jego domek. Potem przychodzi grabarz - bibljotekarz, i grzebie prochy na cichem swojem cmentarzysku, gdzie stoją księgi na półkach, niby urny.

Ten krótki czas, w którym ciekawi przypatrują się nowej trumnie, należy do wydawcy. Idzie mu oczywiście o to, aby jak najwięcej ludzi towar jego oglądało. Przeto biada każdemu, kto mówi: „dajcie pokój, nie warto!" Biada całemu wężowemu rodowi krytyków, który sykiem swoim odstrasza „gości".

Nie ma przyjaźni między wydawcą a krytykiem. Drugi spoziera na pierwszego zawsze z ironją, pierwszy na drugiego z żalem, a nawet z gniewem.

Nie wierzą sobie nigdy. Gdy wydawca całuje krytyka, mówi sobie tenże: „aha, chcesz reklamy, znam cię, bratku!" A wydawca, ściskany przez recenzenta, myśli znów sobie: „żebyś kark skręcił, żebyś nie mógł znaleźć pióra, gdy się zabierzesz do oceny mojej książki, żeby cię, żeby i t. d."

Wydawca, gdy się spotka z krytykiem, prawi zwykle o swoich dobrych zamiarach, o chęci podniesienia piśmiennictwa krajowego, o... o... i t. d., a krytyk słucha, udaje, że wierzy, przytakuje głową, mruczy: hu, hu!

Za kilka dni wychodzi recenzja, z której się wydawca dowiaduje zupełnie innych rzeczy.

Nie ma zgody między wydawcą a krytykiem. Wojują z sobą ciągle, choć kłaniają się sobie czasami bardzo nisko; nie ufają sobie, choć zasypują się pełnemi garściami grzeczności, słów uznania, uwielbienia i t. d.

Któż z nich ma słuszność?

Rozstrzygnie to najlepiej sama publiczność.

T. J. Choiński.

WINO WYTRAWNE.

Przy trzeciej... dziesiątej wypitej już flaszy,
Gdy prawda ode dna wybiła się w górę,
Gdy z czoła nam wino spędziło trosk chmurę,
Tak mawiał, tak śpiewał nam stary podczaszy:
Nie ma, nie ma jak wytrawne!
Jakiś żar po sercu płynie...
„Kochajmy się!" nasze sławne
Tylko w takiem pojmiesz winie!

Więc dzieci! tak róbcie jak starzy robili:
Rok po rok moszcz młody staczali w piwnice,
Tam skrzepił się wiekiem, a potem go pili,
Sławili spuściznę synowie dziedzice.
O! bo nie masz jak wytrawne!
Jaka rzeźwość z niego płynie!
„Kochajmy się!" nasze sławne
Tylko pojmiesz w takim winie!

A wiecież wy dzieci, że przyszłość dziejowa,
To tylko jest wielka narodów piwnica;
Bóg młode w niej wino układa i chowa
Na korzyść przyszłego człowieka dziedzica.
Kiedy perli się wytrawne,
Widzę jasno prawdę całą;
„Kochajmy się!" nasze sławne
Tę mi prawdę wygadało.

Nie śmiejcie się dzieci! nie mówię pijany,
Gdy czasy a dzieje nazywam piwnicą;
Niejedną tam beczkę wtoczyły pogany,
A my z niej pijemy węgrzyna szklanicą.
Hej! poganom na podziękę
„Kochajmy się!" nasze sławne
Palniem, hukniem im piosenkę!
Zostawili nam wytrawne.

Co dzisiaj nas dręczy, i boli, i pali,
Co djabłu z kretesem oddajem mospanie,
Co kwaśne i cierpkie, to potem wnuk chwali,
Wytrawnym węgrzynem przez wieki się stanie.
O! jest w dziejach to wytrawne!
Zeń skrzepienie czasu tryska.
„Kochajmy się!" nasze sławne
Kiedyś całą prawdę zyska.

Przez Boga pracujcie i z czasów winnicy
Zbierajcie wciąż grona i tłoczcie jagody,
Staczajcie to wino do czasu piwnicy,
Dla przyszłych pokoleń potrzebne na gody.
Niechaj znają, co wytrawne!
Niechaj duszę im weseli;
„Kochajmy się!" nasze sławne
Niechaj w to się wino wcieli!

O! wierzcie mi dzieci! bez tej gospodarki
Świat będzie ponury, bo bez animuszu;
Bezsilne, omdlałe pochylą się karki,
A całem skrzepieniem... butelka cienkuszu!
Więc pracujcie na wytrawne,
Choćby życie dla zaprawy!
„Kochajmy się!" nasze sławne
Nie utraci nigdy sławy!

Karol Brzozowski.

PO CO TAKA RODZINA?

(Z niewydanej powieści).

Pankracy Cieplik, niegdyś organista, później grajek w knajpie na Piekarskiej, używał życia. Marnež było jego używanie! Goście dawali „co łaska na muzykę", a on przepijał, co zarobił. Gdy wrócił do domu, żona nie chciała mu drzwi otworzyć. Prosił, zaklinał, molestował i w końcu drzwi się otwierały. W ponurej suterenie, na korku pływający knot rzucał bladawe światło, oświetlając pięć głów dzieci różnej płci, chrapiących w jednym kącie i nakrytych spódnicą matki.

— Bój się Boga, człowieku, co ty robisz?!—wołała żona, chwytając się obiema rękoma za głowę.— Lepiej nas pozabijaj wszystkich! Złamanego grosza nie mam przy duszy, dziecinka głodne spać poszły! Ja zasnąć nie mogę, myśląc, co będzie jutro... O ja nieszczęśliwa!...

I Cieplikowa płakać zaczęła.

Z błędnem okiem, rozczochranym włosem, opiłą twarzą grajek stanął na środku izby, popatrzał dokoła: płacz żony, jakieś złowrogie chrapanie dzieci, mdły blask kaganka, mrozem ścięty mu duszę.

— Słyszysz, pijaku, Malcia ma krup!... Lekarstwa nie mam za co kupić!... Staś chodzi do szkoły bez butów prawie, zaziębił się dzisiaj... Mania nie może chodzić do szycia, bo z niej spadła jedyna sukienka. Sprzedałam ostatnią poduszkę przedwczoraj, a dzisiaj od rana nic nie jedliśmy i nie ma za co w piecu napalić... O ja nieszczęśliwa!...

Rozpłakał się Cieplik, całował żonę, ściskał, błagał o przebaczenie, mówiąc:

— Łajdak jestem, dzieciobójca, żonobójca! Zlitujcie się, przebaczcie; jutro wrócę punkt o północy, cały zarobek przyniosę do domu!

— Oj, nie wrócisz, nie wrócisz! Codzień tak przyrzekasz, a swoje robisz.

— Wrócę, jak cię kocham, żono, wrócę!

— Przysięgnij na dzieci, na Malcię!...

— Jak szczęścia dzieci pragnę, jak Malcię kocham!

I grajek otrzymał przebaczenie żony, począł ją ściskać, całować. Kaganek mignął i pociemniał, mignął znowu i zgasnął. Jedyna chwila szczęścia panowała w suterenie...

Nazajutrz Cieplik powrócił do domu rano i bez pieniędzy. Żona nie robiła mu wyrzutów; ona niema, w boleści obłąkana prawie, siedziała przy świetle kaganka nad trupem Malci. Nie patrzeli na siebie, nie jednali się ze sobą... Kaganek płonął do południa...

Minęła zima, a Cieplik zawsze rano powracał do domu, powracał bez pieniędzy. Dopóki w knajpie zapijał, nie pamiętał o niczem; kiedy szedł z knajpy, doświadczał srogich wyrzutów sumienia. Latem jaskółki śpiewem świt witały, a jemu się zdawało, że one do niego mówią:

— Oj! Ciepliku, Ciepliku, jakiż ty nikczemny człeczyna jesteś!... Dzień w dzień o świtaniu do domu powracasz... Ciepliku, bić ciebie, bić, bić!...

Na grzemsie domu siedział napuszony szary wróbel, na Cieplika z góry jednem oczkiem spoglądał i świerkał, a pijakowi się zdawało, że wróbel ma do niego mowę:

— Leź, pijanico, leź! Do domu się nazbyt nie śpiesz! W domu nędza, dzieci, żony wielki płacz!... Łotr z ciebie, Ciepliku, oj łotr!... A w domu może śmierć, śmierć, śmierć!..

Żebracze psy obwąchiwały rynsztoki i — widząc przechodzącego Cieplika, który esy-floresy nogami wyrabiał po chodniku—zdziwionym a pełnym uczciwości wzrokiem spoglądały nań i zdawały się potępiać jaknajwyraźniej postępowanie tego rodzaju. Cieplik stawał czasami naprzeciwko takiego psa, chciał z nim porozmawiać; ale pies odwracał się od niego ze wstrętem i — pomrukując w zgrozie oburzenia — uchodził boczną uliczką.

Koty, czatujące pod mostkami na szczury, zdawały się też dawać Cieplikowi mądrą naukę, jako człowiek powinien trzeźwo przy pracy czuwać, a co na świecie upoluje, ma nieść do swego rodzinnego gniazda.

Przejeżdżały wiejskie półtoraczne wozy z włoszczyzną na targ do miasta; łby buraków, ogony marchwi, głowy kapusty wyraziście wpatrywały się w Cieplika i z wozów natrząsały się nad jego marnem życiem.

Toczyły się też żwawo wysokie omnibusy z pieczywem i płótnem kryte bryki z mięsem; ich turkot dobitnie burczał i łajał Cieplika:

— Nie tobie, łajdaku, pożywać uczciwe śniadanie z darów bożych!... Nie tobie też jeść obiad, jak przystoi na porządnego mieszczanina!...

W ogóle turkot wozów huczał po bruku, jakby gromy w obłokach, aż skóra cierpnęła na Ciepliku, który słyszał wyraźnie te słowa:

— Bułki, chleby, nabiał, ozory, flaki, głowizna, kartofle, groch, kapusta — nie dla ciebie, Ciepliku, marny Ciepliku!...

Te wymyślania istot żywych i nieżywych tak skołatały głowę urzniętemu Cieplikowi, iż, gdy przybywał do żony, był pokorny jak trusia. A żona zawsze płakała, łajała i — biedna, musiała przebaczać.

Tak jak mijały dni i pory roku, tak samo przechodziły lata. Nieszczęście nie ma litości dla trzeźwych, czemużby miało oszczędzać pijaków?

Po Malci umarł Stasiek. Cieplik pił ciągle. Żona z sił opadała, nie miała zarobku. Cieplik przepijał wszystko, co zarobił. Najstarsza Mania przepadła, uciekła z domu... Cieplik pił ciągle.

— Po co ta rodzina? — wołała Cieplikowa w rozpaczy, rwąc sobie włosy na głowie.

Grajek przestał codziennie wracać do domu. Często przesypiał noc w szynku pod ławą, latem — na skwerze. Przychodził co drugi i co trzeci dzień do żony, dzieci. I po co przychodził?... Ciągnął go jednak kąt cieplejszy.

Minęło lat parę, znowu umarło jedno dziecko i jedno tylko zostało z matką. Cieplik pił ciągle. Żona nie robiła mu teraz żadnych już wyrzutów. Nie budziły też jego sumienia ani jaskółki, ani wróble, psy, koty, ani żadne rzeczy. Pił swobodnie i bez skrupułu, pijanym będąc od rana do wieczora, w stanie czuwania i we śnie. Cieplikowej lżej było; na jedno tylko dziecko i na siebie musiała pracować. Męża obrzydziła sobie. On stał się brutalnym gburem, używał nowego języka. Kiedy przychodził do żony, łajał ją i zrywał się do bicia. W zimie często poszukiwał u niej schronienia.

Ostatnie dziecię, jedyny ślad rodziny, zachorowało na szkarlatynę. Męczyło się, męczyło i umarło. Był to ośmioletni chłopczyk, syn pijaka, z rysów przypominający ojca, starego Cieplika, a kochanek wielki matki. Uszyła mu białą koszulkę sama, omyła twarzyczkę, uczesała włoski, zapaliła gromnicę, ułożyła martwego na ławie i siadła przy nim, jęcząc żałośnie, a gorzkie łzy macierzyńskie wylewając.

Do strasznie smutnej izby wszedł on, który rodzinę stworzył i zniszczył, wywołał uczucia największej

w świecie żywym miłości i uczuciom tym zadał śmiertelne ciosy. Cieplik był pijany, zataczał się, wzrokiem obłędnym spoglądał na zwłoki dziecka, na matkę, pozbawioną prawie czucia. I bydlę, na rzeź gnane, gdy ujrzy rozlaną krew bratnią, pomordowane bliźnie trupy—ryknie ze zgrozy... Wstrząsł się Cieplik, drgnął na widok śmierci ostatniego ze swych dzieci; szukał przyczyny, winowajcy, a był przecież tak spodlony, iż w sobie samym nie mógł znaleźć winy... Zdało mu się, że żona jest tu winną. Zrobił jej okropny wyrzut:

— Pozabijałaś mi dzieci!...

Ona odpowiedziała mu spojrzeniem pełnem pogardy i nienawiści. Kto zna tok ludzkich uczuć, ten wie, iż one szybko zmieniają się jedne na drugie. Cieplik uczuł w sobie szał wściekłości, zdawało mu się, że powinien być mścicielem martwego dziecięcia... Przystąpił do matki i nielitościwie bić ją począł. Przy zwłokach dziecka rozległy się okrzyki walczących rodziców, bili się strasznie o zgasłe życie dziecka, po którego śmierci nienawidzili się oboje z całej duszy, bardziej, niż się kochali, dając temu dziecku niegdyś życie.

Przybiegli ludzie i rozdzielili tę parę, która już i tak otrzymała od przyrody rozwód na wieki.

Cieplika, chorego na *delirium tremens*, umieszczono u Jana Bożego.

Adolf Dygasiński.

ŻUBR I TUR.

Był czas, gdy uczeni europejscy zoologowie i paleontologowie wiedli gorący spór ze sobą o to, czy nazwy: „żubr” i „tur” oznaczać mają dwie różne, czy też jedną tylko rasę zwierzęcą.

Pierwszego z tych zdań, opierając się w części na pisarzach starożytnych—Arystotelesie, Juljuszu Cezarze, Plinjuszu, Senece i innych, a głównie fundując się na dziele Herbersztejna: *„Commentarii de rerum Moscoviticarum”*, bronili tacy nawet potentaci naukowi ubiegłego stulecia, jak Buffon, Linneusz i późniejszy od nich trochę Cuvier, twierdzący w pomnikowem dziele swem *„Recherches sur les ossemens”*, „iż z dwóch rodzajów dzikiego wołu w Europie, jeden tur (*urus* Cezara) dawniej już istnieć przestał, drugi zaś żubr żyje dotąd jeszcze.

Że przypuszczenie powyższe i dziś jeszcze znajduje zwolenników, i to wśród ludzi zkąd inąd ogromnie światłych, a nawet, jak w wypadku, który właśnie mam na myśli, chlubą narodu będących, najlepszym dowodem jest czcigodny nestor powieściopisarzy naszych—Kraszewski. W jednej bowiem z najlepszych może w całym cyklu powieści historycznych, a mianowicie w I-ym tomie „Braci zmartwychwstańców”, opisując po mistrzowsku obficie w owej epoce jeszcze (w XI-ym wieku) pokrywające kraj cały puszcze leśne i zamieszkujące je zwierzęta, Kraszewski pomiędzy innemi na str. 164-ej powiada: „Lasy też ówczesne do dzisiejszych nie były podobne, nie splądrowane, dziewicze, obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, które dziś z nich znikły na wieki. *Żył w nich jeszcze pan puszcz, dziki tur, chodziły żubry stadami wielkiemi,* łosie i jelenie”. Dalej zaś, na str. 167-ej, mówiąc o łowach ówczesnych, Kraszewski powiada: „Dzielnego oka i dzielnej trzeba było dłoni, aby tura, żubra lub łosia obalić i niedźwiedziowi wydrzeć życie”.

Zdawaćby się przeto mogło niejednemu z licznych czytelników wzmiankowanej powyżej powieści i bezwzględnych wielbicieli olbrzymiego talentu i powagi Kraszewskiego, iż żubr i tur są to dwa oddzielne, nic z sobą wspólnego nie mające gatunki zwierząt. Tak jednak nie jest. Wszystko to bowiem, co niegdyś starożytni pisarze w dziełach swych pisali w tej kwestji, nietylko, iż rzeczy nie wyczerpuje zgoła, lecz często nawet jedno drugiemu przeczy. Wszyscy oni, z wyjątkiem chyba jednego Arystotelesa, jak się zdaje pisali o żubrze ze słyszenia tylko; nikt osobiście zwierzęcia tego nie badał, a wprost przy podawaniu wiadomości o niem zapożyczano się wzajemnie u siebie.

Zdaje nam się nawet, iż w ogóle takiemu naprzykład Cezarowi, aczkolwiek był on wielkim politykiem, sławnym wodzem, a i pisarzem też niepospolitym, w kwestjach zoologicznych niekoniecznie chyba możemy wierzyć bezwzględnie, skoro naprzykład według niego łosie posiadać mają nogi bez stawów, przez co też nigdy się niby nie kładą, a gdy który z nich upadnie, powstać już nie jest w możności.

Tem mniej jeszcze zasługuje na wiarę w danym razie Plinjusz. Uczony ten bowiem rzymianin, autor encyklopedycznego, z 37-iu ksiąg składającego się dzieła *„Historia naturalis”*, pod imieniem *„bonasos”* i *„bison”* opisuje dwa oddzielne gatunki dzikich wołów (*bubali*) wówczas, gdy owe właśnie *„bubali”*, czyli bawoły, pojawiają się w Europie (dokąd ich przywieziono z Azji) dopiero w VI-ym wieku po Chr., to jest prawie w 500 lat po śmierci samego Plinjusza; nazwa zaś *„bonasos”* nadaną została przez Arystotelesa bizonowi (*Bos americanus*).

Te dwa fakty, według mnie, dostatecznie podrywają autorytet obu decydujących w interesującej nas kwestji, a powyżej wymienionych pisarzy. Co zaś do Herbersztejna, to dozdania jego, jako nie zoologa również, jak się zdaje, niewielką przywiązywać możemy wagę. Twierdzenie zaś jego o istnieniu dwóch różnych gatunków zwierząt: tura i żubra, przypisać możemy temu naprzykład, iż w czasie podróży swej w 1525-ym roku po białowieskiej puszczy, przez kogoś rzeczy nieświadomego został on poprostu w błąd wprowadzony, lub też, jak przypuszcza Bojanus, pod mianem turów rozumiał i opisywał gatunek dzikich wołów, których stada przez czas długi jeszcze po zaliczeniu wołu do liczby zwierząt domowych obficie napełniały lasy środkowej Europy.

Bądźcobądź, przypuszczenie starożytnych i wślad za nimi w tym względzie idących kilku nowszych badaczów przyrody, iż żubr i tur jest to jedno i to samo, różnie tylko z biegiem czasu i stosownie do miejsca zamieszkania nazywane zwierzę, jako zgoła niemal pozytywnemi dowodami nie poparte, w ubiegłem jeszcze stuleciu upadło zupełnie.

Do obalenia jego, pomiędzy innymi uczonymi, przyczynili się głównie: Jerzy Pusch, gorliwy na polu paleontologicznem i geologicznem zwłaszcza w Polsce pracownik, urodzony w roku 1603-im w Szamotułach, sławny lekarz i naturalista, dalej Jan Jonston, który w dziele swem *„Historia naturalis animalium”*, twierdzi, iż „zwierzę nazywane na Mazowszu i Żmujdzi turem, na Litwie żubra nosi miano”, oraz prof. b. uniwersytetu warszawskiego, zoolog, doktor filozofji i członek wielu uczonych towarzystw Feliks Jarocki.

Dziś więc przeto, jak widzimy, tożsamość nazw żubra i tura wątpliwości już nie ulega najmniejszej. Potwierdzenie zaś jej znajdujemy nietylko w dziełach tegoczesnych uczonych badaczów przyrody, nietylko w podręcznikach naukowych, lecz i w podaniach ludowych, pieśniach, nazwach miejscowości, rzek itp., a *vox populi* to *vox Dei* podobno.

W gubernji grodzieńskiej, gdzie rzeki Niemen, Bug i Roś stanowiły niegdyś granicę Litwy i Rusi, na jednym brzegu rzek tych spotykamy nazwy: Żubry, Żubrzy kąt, Żubrówka, Żubrzyca, na drugim zaś: Turno, Turleja, Turowiec, Turowa łąka itd. Ulubiona przytem przez żubrów trawa *hierochloe borealis*, po jednej stronie wzmiankowanych przed chwilą rzek nosi miano „żubrzycy”, „żubrówki“, po drugiej zaś „turzycą”, „turówką”, „turzą trawą” jest nazywaną.

Śmiało więc tedy chyba niniejsze to nasze słówko w dawno już przebrzmiałej kwestji przyrodniczej wraz z innymi, przedemną obszerniej i dokładniej kwestję tę badającymi miłośnikami przyrody, zakończyć możemy twierdzeniem, iż żubry Litwę niegdyś całą i Polskę, a przedtem i Europę niemal całą zamieszkujący, aczkolwiek pod różnemi tu i owdzie znane były nazwami, tem mniej wszakże stanowiły jeden i ten sam gatunek prawdziwego żubra białowieskiego. Wraz z wyniszczeniem zaś lasów w Polsce, polskie tury a litewskie żubry szukały przytułku w bardziej niedostępnych i ręką ludzką nietkniętych puszczach i nie mogły na razie znaleźć dla się bardziej odpowiedniego schroniska, jak naszą puszczę białowieską. I tu jednak dni ich żywota, pomimo wszelkich dotąd w celu zakonserwowania ich przedsiębranych przez rząd środków, są już niestety niemal policzone.

Białystok.

Franciszek Gliński.

ADAGIO.

Ach! nadaremnie wyciągam ramiona
Do was, przybysze z kraju ideału,
Do których serce rwało mi się z łona
W chwilach młodzieńczej wiary i zapału!

Czyli już wasza po świecie skończona
Wędrówka, że wkrąg znikacie pomału?
Jeden za drugim bóg na tronie kona,
Lub zrównan z tłuszczą schodzi z piedestału.

Wiaro, Miłości, Sławo! Bogi moje!
Dziś cienie tylko w bóstwa majestacie,
Duchy rzucone na styksowe zdroje!

Oto Charona łódź szybko odpływa
I smutny wołam, patrząc jak znikacie:
Pierzcha mar sennych rzesza bojaźliwa!

Ach! nadaremnie wyciągam ramiona.
Pierzcha mar sennych rzesza bojaźliwa
Jak mgła, co w rannych brzaskach się rozpływa,
Jak w step bez echa nuta zkądś rzucona.

Świeżą zielenią szemrze drzew korona,
Znów bujnem kwieciem zabarwia się niwa —
A w mojem sercu dzień wiosenny kona
I jesień życia kwiat za kwiatem zrywa.

O ziemio-matko! pocóż wciąż nam świta
Dzień, dzień, co błyśnie tylko i znów zmierzchnie?
Cóż z dnia, co gaśnie? z kwiatu, co przekwita?

Ach! a duchowi cóż w odlotu chwili
Z życia, co nagle jak sen wielki pierzchnie,
Z tych mąk i cierpień, cośmy tu przebyli?

Czesław.

Koniasz i jego następca.

KARTKA Z DZIEJÓW UPADKU I ODRODZENIA CZECH.

Źle się działo z Czechami po bitwie pod Białą-Górą.

Naród pozbawiony wszelkich praw stał się ofiarą bezwzględnej przemocy. Prześladowano wszystkich i wszystko co tylko wiernem zostało lepszej przeszłości.

Szlachta, o ile nie wyginęła na rusztowaniach, wznoszonych w rynku Starego Miasta, zamożniejsze mieszczaństwo, cały prawie kwiat społeczeństwa czeskiego opuścić musiał kraj, szukając schronienia w Polsce, w Niemczech, w Holandji a nawet we Francji i Szwecji.

W kraju zostali tylko żebracy i „hołota”, ogółem 780,000 ludzi, czyli niespełna trzecia część dawniejszych mieszkańców królestwa czeskiego.

Natomiast garnęły się do Czech obce żywioły, nabywając za bezcen opuszczone i skonfiskowane majętności. Sam Wallenstein nabył na własność 41 skonfiskowanych dóbr czeskich, a rząd otrzymał ze sprzedaży takich dóbr 43 miljony guldenów.

Obcy awanturnicy stali się bogaczami, pierwotni mieszkańcy Czech wyszli na ostatnich nędzarzy.

Ci, którzy decydowali o losach tej krainy, dali na pastwę wszystko co było jej ozdobą i chlubą. Zabierali, niszczyli, grabili, wynosili co mogli, — ztąd dziś tyle pamiątek sztuki czeskiej za granicami.

Niedość jednak na tem. Wrogowie ludu czeskiego wiedzieli, że najdroższem jego mieniem jest książka czeska, którą nawet po bitwie pod Białą-Górą przechowywano troskliwie pod każdą strzechą czeską. Użyli więc za pozór religji i dla wytępienia kacerstwa wyławiali książki, paląc je publicznie na stosach. Wszystko co było pisane językiem Husa i Żyszki, uznanem zostało z wyższego rozporządzenia za zarażone trądem herezji. Tym sposobem obrócono w popiół tysiące książek czeskich ze złotego wieku literatury. Srogie kary dotykały tych, którzy się ważyli je przechowywać.

Do najgorszych a zarazem najstraszniejszych niszczycieli książek czeskich należał Antoni Koniasz, zmarły w r. 1760-ym, złowroga postać w dziejach upadku narodu. Był to najwytrwalszy inkwizytor literatury czeskiej. Jest on autorem dzieła: *„Index bohemicarum librorum prohibitorum”*, wydanego po raz pierwszy w r. 1729-ym, powtórnie w r. 1749-ym a po raz trzeci w r. 1770-ym, w dziesięć lat po śmierci autora.

Katalog ten zawiera spis 3,190 „niebezpiecznych” książek czeskich, które bezwarunkowo nakazuje „palić i niszczyć”.

Godny ten współzawodnik Omara, chlubił się sam, że w życiu swojem spalił najmniej 60,000 czeskich książek kacerskich!

* * *

Od śmierci Koniasza ubiegło 125 lat i zabrakłoby mi papieru, gdybym chciał kreślić we wszystkich szczegółach korzystną zmianę, jaka od tego czasu nastąpiła.

Więc jeden tylko dam wam oderwany obrazek.

Parę lat temu jeszcze krążył po ulicach Pragi człowiek, który zwracał na siebie uwagę przechodniów, takich szczególniej, którzy go znali z opinji.

Nie był to elegant ani bogacz, był to sobie taki czech, którego ziomkowie wdzięcznie wspominają i długo wspominać będą.

Włosy i brodę miał siwiuteńkie, twarz przyjemną, zawsze gotową do uprzejmego uśmiechu.

Chodził prędko a zawsze to pod pachą, to w paczkach nosił — książki czeskie.

Niekiedy upadał pod tym literackim ciężarem, lecz właśnie kiedy ciężar był największy i starowina ledwie mógł mu podołać, twarz jego była najweselsza. Im większe było drukowane żniwo tem więcej w jego oczach tryumfu.

Nabywał on te książki rozmaitym sposobem, je-

dne dostawał darmo, inne po długim targu skupował w antykwarniach żydowskich.

A gdy go zapytano na co te książki zbiera, wtedy łzy mu stawały w oczach i odpowiadał:

— Wiadomo wam przecie, że Koniasz spalił 60,000 książek czeskich, które naszemu ludowi z rąk wydarł. A więc ja, prosty człowiek, postanowiłem sobie, że tyleż książek oddam narodowi czeskiemu. Co tu w mieście uzbieram, to wynoszę na wieś i zostawiam po chatach, które Koniaszowie plądrowali. Światlejszym i zamożniejszym sprzedaję, abym miał za co kupić nowe, ciemnym i biednym, gdy kupić nie chcą albo nie mogą, rozdaję darmo. Tak książki wrócą pod strzechy, do ludzi, którym przemocą zostały wydarte. To cel mojego skromnego życia!

— *Pomohej Buh*'! — odpowiadał słuchacz wzruszony.

Rozumie się, że wielu pomagało staruszkowi gorliwie w spełnieniu uczynionego ślubu.

I ślub ten został spełniony co do joty.

Ręce prostego człowieka zwróciły ludowi czeskiemu to co mu wydarł smutnej pamięci prześladowca.

Tak praca tych co światło tłumią zawsze z czasem idzie na marne.

Edward Jelinek.

SOBIESKI POD WIEDNIEM.

USTĘP Z POWIESCI p. n. „ABRAHAM KITAJ'.

...Kiedy już wojsko ruszyło ku owym górom, przez które się miało przeprawiać, aby mogło wedle myśli wodzów niemieckich spaść z wielkim impetem na obóz turecki, król znowu był frasobliwy, bo niemcy mu powiedzieli, że znajdzie gościńce, a tam i ścieżek nie było; trzeba było naprzód wyprawiać piechotę, aby las wycinała i drogę ścieliła, a działa musieli żołnierze w wielu miejscach przenosić na plecach.

Bardzo ciężka to i zmudna była przeprawa—a kiedy nareszcie wojska stanęły po tamtej stronie tych gór, gdzie już oblężony Wied[illegible] obozy tureckie było widać jakby na dłoni, to konie i ludzie byli tak wygłodniali i pomęczeni, że ani myśleć nie można było o rozpoczęciu harców bez wypoczynku. Wojsko też szło bez żadnych taborów, nawet i dla króla wieziono tylko maleńki namiotek na mułach, to też w sobotę wieczorem stanęło na tych stokach pomiędzy lasami tak cicho i niepostrzeżenie, że turkom ani się śniło, żeśmy już nad nimi wisieli o małe pół mili.

Król zaraz z wieczora, jak tylko mu namiotek rozpięto, położył się na materacu, postawiwszy Matczyńskiego, koniuszego koronnego (który umarł wojewodą ruskim), przed sobą na straży, aby zważał, kiedy Stahremberg, komendant miasta Wiednia, da znak rakietami, jako już otrzymał wiadomość, że król stoi w tem miejscu.

Jakoż niebawem trzy race jedna po drugiej zajaśniały na niebie; król rzekł: „Niech będzie Bóg pochwalony!" i ułożył się do snu.

Ale o trzeciej rano już się obudził i kazał zaraz z bębnów ołtarz zbudować, przy którym słuchał mszy św. jednej i drugiej, bo pierwszą miał ks. dominikanin Skopowski, a drugą włoch z zakonu kapucynów. Po drugiej mszy św. już dnieć zaczęło, niebawem i słońce zeszło—a wtedy roztoczył się przed wojskami widok tak wspaniały, ale zarazem i groźny, że niewielu jest ludzi, którymby dano było widzieć żywy obraz tak wielkich rozmiarów i tak doniosłego w historji ludów znaczenia.

Forteca wiedeńska, jakkolwiek bardzo statecznemi murami i wyniosłemi bramami otoczona dokoła, a obejmująca w swojem wnętrzu wspaniałe kościoły i sięgającą ku niebu iglicę tumu św. Szczepana, wydawała się ztamtąd, jak gdyby gniazdo jakiego sporego ptaka, albo jakby łupina orzecha, którą już ze wszystkich stron nadszczerbiono, a którą dość ścisnąć palcami, aby się w proch rozsypała. Dokoła niej, mianowicie zaś od południa i wschodu popalone przedmieścia, podeptane ogrody, armatniemi kulami poryte ulice; jak daleko wzrok sięgnie na rozległe płaszczyzny w tej stronie, widać tylko gruzy i zgliszcza, wszystkie miasteczka i wioski z ziemią zrównane—i sama ziemia nawet zczerniała, nakryta grubą warstwą popiołu i kurzu, że ani jedna trawka na niej się nie zieleni.

Na tej całej przestrzeni nie dojrzeć ani jednego człowieka, ani jednego bydlęcia, ptactwo nawet ten kraj opuściło i schroniło się w lasy; natomiast czasem po tym bezludnym stepie hufiec tatarski przeleci, mignie się przed oczyma jak poczet djabelski, nieprzejrzane tumany kurzu za sobą podniesie i zniknie w jakiej dąbrowie.

Tylko Dunaj szeroki toczy spokojnie swoje wody błękitne, nie troszcząc się o to, co się dzieje po jego brzegach; widział on już niemało tak samo krwawych pomiędzy ludźmi zapasów i wie o tem, że jeszcze ich więcej i daleko krwawszych obaczy.

Tymczasem huk dział nie ustaje ani we dnie, ani w nocy, kule armatnie padają jedna za drugą w środek fortecy, uderzają w dachy, a dachy się rozsypują, uderzają w domy i grzęzną w ich wnętrzu, uderzają w kościoły i odlatują od nich jak jabłka—a turcy ryją miny pod dwiema zachodniemi basztami jak krety, napełniają je prochem, lada chwila przybiegną z lontem i miasto w powietrze wyleci.

W mieście lament rozgłośny i jęki jakby w dzień sądny. Oblężeńcy już i łzy wypłakali, już im się tylko trzęsą wnętrzności. Kaznodzieje gromią skruszoną ludność w kościołach i na rynkach publicznych i zapowiadają kary piekielne za grzechy: za opilstwo, obżarstwo, kosterstwo, cudzołóstwo, uwodzicielstwo i wszelkie lubieżne rozpusty, jakiemi się od wieków, jak druga Kapua, jak Sodoma i Gomora osławiło to miasto.

Starzy lubieżnicy klękają na gołych kamieniach, uderzają się w piersi i włosy sobie wydzierają z rozpaczy; młodzieńcy chodzą jak obłąkani, jak gdyby ze strzałą zatrutą w piersiach, że muszą tak młodo umierać; rozpustne kobiety drą szaty na sobie, rzucają perłowe kolce i drogie łańcuchy w rynsztoki, depcą nogami te świadki ich grzechu i wstydu i tarzają się w pokutniczych jękach po bruku. A z ich wychudłych, wyżółkłych twarzy śmiertelny głód zęby wyszczerza: już zjedli psy, szczury i koty, kilka dni jeszcze—a umrą z głodu, albo oddadzą głowy pod noże tureckie!...

Zaś od zachodu i kęs od południa turcy poroztaczali swoje potężne obozy. Od kiedy świat stał, nikt jeszcze takiej nieprzeliczonej ćmy wojska nie widział. Sto tysięcy namiotów tam siadło jedne przy drugich, w nich trzykroć sto tysięcy żołnierzy, sto pięćdziesiąt tysięcy koni—a sto armat koło nich.

Obóz ten dziesięćkroć większy niżeli cała wiedeńska forteca—a wojsko w nim dziesięć razy silniejsze, boć ma on jeszcze sto tysięcy turków na swoje usługi, a wszystkie kraje ku południowi tureckiemi wojskami zalane. We wszystkich tamtejszych fortecach, w Nowych Zamkach, w Preszburgu, w Budzinie, w Jaworynie, w Warasdynie, Esseku, ma ten potężny wróg swoje załogi—a w Belgradzie sam sułtan osiadł na czele swoich najprzedniejszych żołnierzy i czeka, rychło Kara Mustafa przyśle gońca z nowiną, że stanął pod tumem św. Szczepana, wszystkich książąt niemieckich wziął w łyka, a rzymskie cesarstwo leży u nóg padyszacha.

Kara Mustafa tak jest pewny swojego zwycięstwa, że nawet bomb nie puszcza do miasta, ażeby tej świetnej cesarzów rzymskich stolicy nie spalić i oddać ją jako nietkniętą dziewicę w ręce sułtana—a w namiocie stoi już osiodłany jego koń biały, ustrojony w djamentowe czapraki, na którym wjedzie na czele obu baszów do Wiednia.

Kilka dni jeszcze—a ulice stolicy strumieniami krwi spłyną, beluardy fortecy ubiorą się w głowy burmistrzów i rajców wiedeńskich. Cesarstwo rzymskie zostanie zdmuchnięte jak świeca, a Wiedeń stanie się paszalikiem tureckim.

Taki sen roją sobie hetmani sułtańscy, takiemi słowy wtóruje mu rozpacz mieszczan wiedeńskich. Ale Bóg się zlitował nad chrześćjaństwem i przysłał człowieka, proch z prochu, ale swojego wybrańca, któremu Jan jest na imię, a który zbawi cesarstwo rzymskie i świat chrześćjański.

Już on tam stoi na górze i orlem okiem powodzi po obozach tureckich; szuka miejsca, w któreby mógł swoją husarją uderzyć. Wodzowie oczy wlepili w jego postać wyniosłą, oddech zawarli w piersiach; szmer idzie pomiędzy nimi, że już są proroctwa, biała gołębica się nad nimi unosi: on zbawi, on duchem bożym natchniony, nigdy niezwyciężony, pogromca hord bisurmańskich, *fulmen Orientis*!

Król wtedy już rozporządził wszystkiemi wojskami. Roztoczył je półkolem, obimając zdaleka cały obóz turecki.

Polacy stanęli na prawem skrzydle, a dostało im się stanowisko haniebnie niewygodne, bo były tam prawie same winnice, z których pułki konne miały uderzać na turków, a tędy i piechota niełatwo mogła się spuszczać. Lewe skrzydło od Dunaju dostało się niemcom: z samego kraju stał książę lotaryński, obok niego na prawo elektor saski, dalej elektor bawarski, dwudziestoletni młodzieniec, dalej inni pomniejsi, lecz każdy z książąt stał sam na czele swojego wojska, bo jużto tam wszyscy zarówno nadstawiali swojej głowy.

Król stanął w środku—a otoczony był świtą niezmiernie liczną, bo oprócz swoich kawalerów kilkudziesięciu, miał od każdego książęcia po kilku adjutantów przy sobie dla rozwożenia rozkazów, a nadto jeszcze każda chorągiew polska miała przy jego osobie swojego rezydenta.

Już zaraz po wschodzie słońca niemcy zaczęli się ucierać z turkami, którzy ze wszystkich stron, jak szarańcza, wysunęli się ku nam—i już tam toczono bitwy wcale nieszpetne, zwłaszcza też pod komendą księcia lotaryńskiego, na którego wszyscy dowódcy niemieccy się oglądali.

Przy nim był z naszych Lubomirski kawaler, zawołany partyzant, który na czele czterech tysięcy młodzieży już oddawna służył cesarzowi i bardzo był respektowany u niemców. Ten na tem skrzydle walił naprzód jak szatan wcielony, że aż sam książę go mitygował, jakoż niemało turków tam naciął, ale i swoich trochę pogubił, a między nimi pułkownika Kińskiego, za którym niemcy potem bardzo płakali.

Ale i niemcy także okrutnie zuchwale następowali na turków, a zwłaszcza dragoni sabaudzcy, tacyż dragoni kawalera książęcia Cronij i sascy.

Na prawem skrzydle równie sroga zawrzała bitwa, gdzie naszych dużo ginęło, bo w tych tam winnicach w zasadzki wpadali, że aż ich musiała wyrębywać piechota niemiecka, z wielką odwagą i wytrwałością, nawet ku podziwieniu samego króla. Dopieroż kiedy naszych dobrze już nadpoczęto, a rdzeń potęgi tureckiej stał jeszcze nietknięty w obozie około wielkiego wezyra, król spojrzał około siebie i spytał:

— A jest tu rezydent od chorągwi królewicza Aleksandra?

Przyskoczył zaraz towarzysz, który był rezydentem, a król do niego:

— Biegaj waść prędko, aby tu wasz porucznik przyszedł ze swoją chorągwią.

Chorągiew ta stała blisko, toż nie minęło i trzy Zdrowaś Marja, kiedy kłusem przybiegła, a Zwierzchowski przystąpił do króla, mówiąc:

— Przyszedłem za znakiem pańskim, czekam ordynansu Waszej Królewskiej Mości.

Król przyłożył perspektywę do oka, a rozpatrzywszy się po obozie tureckim, który widać było na dole jak na talerzu, rzecze:

— Widzisz waść tę kupkę, więcej błyszczącą od innych, panie poruczniku?

Zwierzchowski mówi:

— Widzę, miłościwy królu.

A król na to:

— Otóż tam sam wezyr stoi. Dopiero sznury rozciągają sejwanowe, aby się od gorąca ochronić. Weźmiesz waść, panie poruczniku, swoją chorągiew i skruszysz kopję w tym punkcie.

Zwierzchowski poszedł i zaraz ruszył ze swoją chorągwią—a tu po oficerach królewskich mróz przeszedł, bo Zwierzchowskiego chorągiew, choć bardzo pełna, nie miała z pacholikami więcej jak dwieście pięćdziesiąt ludzi—a tam cały obóz turecki, i to jeszcze do tego właśnie ten punkt, gdzie około osoby wezyra było pewnie z jakie dziesięć tysięcy doborowego żołnierza. Wszyscy się więc przeżegnali, mówiąc:

— Daj ci panie Boże śmierć lekką, amen.

Tymczasem Zwierzchowski ze swoją chorągwią już się spuścił w dolinę, a tam złożywszy kopje wpół końskiego ucha, zbitą masą, co koń wyskoczy, uderzył w świtę samego wezyra.

A wtedy widziano jakby na dłoni, kiedy chorągiew była na jakie pięćdziesiąt kroków od turków, jako jeden towarzysz na wielkim koniu dropiatym przed wszystkiemi się naprzód wysunął i właśnie jakoby kula armatnia, w sam środek tej świty uderzył. Przez to oka mgnienie widać tylko było zad jego konia, biały jak mleko, poczem zniknął, bo go chorągiew sobą nakryła, która też także w drugiem oka mgnieniu sama zniknęła, bo jakoby kto kamień w wodę wrzucił, w tłumie żołnierzy tureckich się utopiła.

Ten i ów jeszcze raz się na ten widok przeżegnał, a król, odjąwszy perspektywę od oka, rzekł:

— Uderzyli jak trzeba. Ale chciałbym wiedzieć, który to jest ten towarzysz, co się naprzód wysadził. Łatwo go będzie odpytać, bo białego miał konia.

Na to zaś odpowiedział pan Fredro:

— Jeśli zdrów wróci, czego pragnę, ale się nie spodziewam, to powiem waszej królewskiej mości jego nazwisko, to mój znajomy.

Król jednak ledwie go słyszał, bo patrzał znowu przez perspektywę w obóz turecki.

A tam ta nieszczęsna chorągiew zrazu całkiem zniknęła, ale niebawem podniósł się na tem miejscu ogromny tuman gęstego kurzu, tak, że nic widać nie było. Dopiero w maluczką chwilę wśród tego tumanu czasem błysnęła chorągiew z pół czarnej, a pół żółto-gorącej kitajki, na której był wyszyty orzeł biały: więc, że to był znak Zwierzchowskiego, łatwo się było domyśleć, że turcy naszych bardzo ścisnęli, ale że nasi się jeszcze bronili.

Widząc to król, dobył z zanadrza drzewa krzyża świętego, a złożywszy ręce, modlił się głośno:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów zmiłuj się nad twoim ludem!

Za królem wszyscy zaczęli się modlić. A ledwie pacierz zmówili, Zwierzchowski, prawie istotnym cudem wypruł się z pomiędzy turków ze swoją chorą-

gwią. Musieli się tam ci towarzysze serdecznie trzymać jeden przy drugim, kiedy się z takiej nawały wypruli. Turcy jeszcze kilka staj za nimi gonili, ale kiedy się nasi już dobrze od ich obozu oddalili, dali im pokój.

Zwierzchowski, zostawiwszy swoją chorągiew o jakie sto kroków, przybiegł do króla i rzekł:

— Sprawiłem się według rozkazu.

Król rzecze:

— Chwałaż Bogu, że waść sam zdrowo wyszedłeś. A co za szkodę masz między ludźmi?

Zwierzchowski na to:

— Jeszcze się pomiarkować nie mogę, aleć brakuje niewielu.

Wtedy król rzecze do niego:

— Żebyś mi waść po haśle raport uczynił z imienia i z przezwiska kto zginął. A który to jest ten towarzysz, co się naprzód wysadził z szeregu?

Zwierzchowski na to:

— Łaszcz to jest z Kitajgrodzkich, co jeszcze służby się nie nauczył, bo dopiero w Krakowie pod chorągiew podjechał. Wytuzowałem go za to.

Na co król:

— Dobrześ zrobił. Ale dasz mi waść konotatkę o nim w raporcie, bo takich ludzi czasem potrzeba

A wtedy i ci i owi jęli winszować Zwierzchowskiemu, że takim cudem zdrowie swoje wyniósł już prawie z tamego świata. Kasztelan szczerze się cieszył, że Abraham zwrócił uwagę królewską na siebie, jakoż wszyscy tak powiadali, że gdyby się Zwierzchowskiemu było co stało, to pewnieby go był król porucznikiem mianował.

Ale drudzy przecie trochę szemrali, że król bez potrzeby, jak im się zdało, taką przednia chorągiew na śmierć oczywistą naraził, w której tak wiele młodzieży z najpierwszych domów służyło. A że to, jak zwykle, kiedy jedni szemrają, drudzy zaraz łagodzą, więc doszło to w oka mgnieniu do uszu królewskich.

A wtedy król powiedział głośno, tak, że go wszyscy słyszeli:

— Jeżeli kto umie uwarzyć jajecznicę bez jajec, to niech się zgłosi, zaraz mu oddam buławę, jeszcze i sam jako towarzysz pod jego chorągiew podjadę.

Zaczem przestali szemrać. I dobrze zrobili, bo król wiedział, co robi.

Właśnieto w tem była jego potęga i tem też przyszedł do tak wielkich zwycięstw i takiej rozgłośnej sławy, że w ciężkich chwilach, gdzie wszyscy głowy tracili, miewał takie szczęśliwe natchnienia.

Wiedział on dobrze, że abyśmy zwyciężali, niedość jest nam mieć odwagę, lecz trzeba jeszcze, ażeby nieprzyjaciel miał respekt przed nami. Gdyby był nie umiał wpajać takiego respektu przed sobą turkom i tatarom, ażaliżby mógł zwyciężać ich armje tak małemi garstkami?

Tak też zrobił w tym razie. Pobić w bitwie regularnej trzykroć sto tysięcy nieprzyjaciela siedmdziesięcią tysiącami wojsk sprzymierzonych było istnem niepodobieństwem, jeżeliby strach do zwycięstwa nie pomógł. Chorągiew husarska, choćby najwaleczniejsza, mogła tam zginąć do ostatniego człowieka, bo turcy mogli swojemi myckami ich wszystkich wydusić; ale już sama ta śmiałość, że dwieście ludzi na cały obóz uderza, musiała koniecznie w turkach respekt dla nas obudzić.

Otóż Pan Bóg tak zrządził, że nie sam respekt, ale strach wielki i popłoch obudziło to uderzenie. Wielki wezyr stracił głowę odrazu. Zawołał tatarskiego chana do siebie i rzekł do niego:

— Ratuj mnie w tej ostatniej potrzebie.

Ale chan mu powiedział:

— Ratuj ty sam siebie, jeżeli możesz. Ja znam polskiego króla, od niego jedyny ratunek w ucieczce.

A tymczasem baszowie, którzy znali polskiego króla, dawajże drała, nie czekając nawet rozkazu wezyra.

Już król zobaczył to zamięszanie w tureckim obozie i rozesłał zaraz wszystkich adjutantów do książąt niemieckich z tą radosną nowiną, a zarazem i całej swojej armji kazał uderzyć. A wtedy już „bij, jak w Bożą niedzielę”, bo też to właśnie była ta niedziela, z której to przysłowie wstało.

Zaraz też książę lotaryński wszystkiemi siłami uderzył, a odparłszy turków od Wiednia, pierwszy nadpoczął ich obóz. Nasi też uderzyli z prawego i obóz do reszty rozdarli. Około godziny szóstej z wieczora, właśnie przed samym zachodem słońca, król stał już w własnej osobie około namiotu wielkiego wezyra i odbierał owe przedziwne zdobycze, które sami dworzanie wezyrscy mu przynosili.

W całym ogromnym obozie już ani jednego pocztu tureckiego nie było; tylko janczarowie, którzy o ucieczce armji tureckiej nie wiedzieli, bili się jeszcze pod murami fortecy.

Wydano żołnierzom jaknajsurowszy ordynans, aby się nie ważyli obozu rabować; ale już to nie jest w mocy żadnego hetmana zwycięskiego żołnierza powstrzymać, aby się nie obłowił. Karniejsi niemcy jeszcze się jakokolwiek mitygowali, ale nasi rzucili się jak szarańcza na tureckie namioty i zaraz je poczęli roznosić.

A było tam co brać, że i rąk nie stawało. Bo turcy nie przyszli na tę wojnę tak chudobnie, jak nasi, że już nie wspomnę o niemcach, którzy w swoich mantelzakach czasem i drugich pluder nie mieli.

Namioty tureckie kapały od drogich jedwabiów, drogich kamieni i złota, a w tych namiotach trudno było i przebrnąć przez drogocenne sprzęty, srebrem, złotem, perłową macicą sadzone, a pełne rozmaitych klejnotów od pereł, rubinów, szmaragdów, w pierścieniach, spinkach, manelach, ba, znajdowano nawet i pasy djamentowe, których świetności się nie można nadziwić nigdy.

Nawet i pieniądze srebrne i złote znajdowano w sepetach i w workach, a czasem i rozsypane na ziemi. Materyj jedwabnych najprzepyszniejszych, dzierzganych złotem i srebrem, tkanin cudownie pięknych, tureckich, chińskich, indyjskich, aksamitów, atłasów, kitajek, było pełno po wszystkich przedniejszych namiotach, nawet jeszcze w postawach i sztukach. A co tam koni przepysznych tureckich i arabskich, co kulbak i rzędów, drogiemi kamieniami sadzonych, co szabel bogatych, chorągwi, buńczuków i innych drogich rupieci ci poganie odbiegli w tym strachu, tego nikt nigdy nie zliczył.

Zgoła jak zaczęto płukać ten obóz, to tam lada pachołek coś chwycił—a który towarzysz miał czeladź pracowitą a wierną, to się całe porządnie obłowił. Niektórzy z nich wieźli potem za sobą ładowne wozy, z końmi jucznemi i wielbłądami, jakby małe obozy.

Królowi też i hetmanom naznoszono tych rzeczy niemało, które poładowano na wozy, a przytem naprowadzono im jeńców, bo przecie ten i ów-basza nie zdążył salwować się, kiedy jeszcze czas był po temu. O zdobycze niebardzo tam dbano pomiędzy starszyzną, ale o jeńców były targi między hetmany, bo każdy chciał jakiego znacznego turka przyprowadzić do domu. Król wszakże dał dobry przykład ze siebie, bo jeńców odstąpił hetmanom, natomiast zaś posłał zaraz zieloną chorągiew Mahometa Ojcu świętemu, a złotą podkowę, którą znaleziono w namiocie wielkiego wezyra, do kościoła w Krakowie.

Zaczem król przespał się w obozie pod drzewem, a nazajutrz jechał do Wiednia.

Wjechał do miasta przez kazamaty, bo niemcy nie mogli jeszcze odtarasować bram swoich tak prędko; jechał na czele wszystkich hetmanów i wojewodów i był przyjęty przez mieszczan wiedeńskich z ogromnym aplauzem. Jedni mu się rzucali do nóg, drudzy całowali jego strzemiona, a wszyscy krzyczeli: *Vivat Rex! Vivat Salvator!* płacząc z radości i podnosząc ręce ku niemu.

I byłoby było tych hałasów daleko więcej, gdyby nie to, że niektórzy starsi niemcowie dali znak pospólstwu, ażeby też zachowali jeszcze cokolwiek wiwatów dla pana Stahremberga, dla księcia lotaryńskiego i innych paniąt niemieckich, którzy także swoich łbów nadstawiali dla tej wiktorji. Spostrzegł to król i odstąpił im tych wiwatów, co ich tam jeszcze zostało, a wysłuchawszy u Augustjanów, gdzie się cesarze rzymscy chowają, bardzo pięknego *Te Deum* i zjadłszy półgębkiem obiad u Stahremberga—bo to tam przy tym obiedzie każdy miał jeszcze psy i koty na myśli —wyjechał z miasta do swoich żołnierzy...

Zygmunt Kaczkowski.

Cztery.

I. BLONDYNKA.

Jej włosy, barwy złota i popiołu,
Koroną były rzeźbionemu czołu,
A razem chmurą, w której twarz jej biała
Jakiemś świetlanem widzeniem się zdała.
Rzekłbyś też—z trudem dowierzając oku —
Że cała tonie w złocistym obłoku,
I że weń wsiąknąć i rozwiać się może,
Jako gasnące na zachodzie zorze...

Taką widziały ją obce spojrzenia —
Lecz przy kochanym, którego bez drżenia
Witać, a żegnać nie mogła bez smutku
(Tak czynią kwiaty ze słońcem w ogródku)
Nieziemskie światło z czoła jej znikało,
I obłok w śliczne przemieniał się ciało,
A złote blaski zbiegały do oczu.
I już nie było w błękitnem przezroczu
Topniejącego sylfa, czy anioła,
Ani kapłanki, której bije z czoła
Zimny majestat grobu i świątyni,
Ani rusałki, co z sercami czyni
Psoty, igrając w srebrnej mgle miesiąca —
Jeno kobieta była, kochająca
Wszystkich sił treścią, wszystkich snów tęsknotą,
I całem sercem i całą istotą,
I wśród tej burzy, ubranej w promienie,
Daną miłości na całopalenie.

Rzadko ją śmieszką widział świat. Niekiedy,
Uciekłszy z koła zapustnej czeredy,
Biegła, gdzie w mrokach błękitnych ołtarza
Lampka to gaśnie, to znów się rozżarza,
I tam, nie wiedząc dlaczego i po kim,
We łzach tonęła. Czasem ją głębokim
Przejęła smutkiem cudza łza lub wina,
Albo też akord ponury pianina
O dreszcz przyprawił. Czasem, gdy z ogrodu
Razem z falami jesiennego chłodu
Woń zwiędłych liści weszła do komnaty,
Smutniejąc nagle i rumieńców kwiaty
Tracąc, siadała blada, marmurowa —
I nikt z niej wówczas nie wydobył słowa.

Mgła melancholji, co włóczy po świecie
Swe zimne zwoje, a czasem przygniecie
Dławiącym smutkiem jaką duszę tkliwą,
I ją dosięgła. Była nieszczęśliwą
Nieszczęściem innych. Jak pewne rośliny,
Których liść wilgoć, swój pokarm jedyny,
Ciągnie z powietrza, chłonęła tak w siebie
Smutek wszechrzeczy, rozlany po niebie,
Gwiazdach i morzu, obłokach i ziemi.

Lecz gdy kto umiał słowy miłosnemi
Zakląć cudownie mimozę tę smętną,
Z lic jej niknęło melancholji piętno
I łono grało pełną uczuć gamą.
Dla kochanego miała rozkosz samą:
Wesołe słówka, uśmiechy cukrowe,
Pierś pełną żaru, pełną marzeń głowę,
W ciemnościach, oczu fosforyczne błyski,
Krótkie piosneczki i długie uściski...

Jej pocałunek był szczery i słodki,
I miał coś w sobie z powabu stokrotki,
Którą dziewczyna, wyjąwszy z warkocza,
Daje lubemu; moc też w nim urocza
Tkwiła, że sprawiał ciche upojenie,
I duszę w jasne ubrawszy promienie,
Budził do szczęścia, do życia, do czynu...
Jej pocałunek podobny był winu,
Co nie odurza, ale rozwesela,
I miał potęgę cudownego ziela,
Które do skarbów ukrytych prowadzi...
Całując, śmiała się ciszej i rzadziej,
I już nie była pusta ni swawolna,
I żar jej źrenic przyćmiewał się zwolna,
A dziwna świętość wchodziła na lice...

Życie w niej miało korną ofiarnicę,
Która w miłości praw przeznaczeń słucha,
I nie zabiera, lecz oddaje ducha.

W jesienne rano, suchotnicze, szare,
Umarła — życia spełniwszy ofiarę,
I cudotwórczej miłości sakrament
Wziąwszy na wieczność. Mówią, że i djament,
Gdy już blask wszystek, wszystką ducha jaśnię,
Wyleje z łona — gaśnie.....

Wiktor Gomulicki.

Bank miasta Warszawy.

Bank państwa operuje na całej przestrzeni Cesarstwa rosyjskiego i przepisy jego ustawy są prawdopodobnie wszędzie tak samo stosowane jak u nas, skutki jednak nie są dotkliwe, a to z tego powodu, iż działalność naczelnego banku jest tam uzupełniona przez inne instytucje kredytowe. Do instytucyj takich należą banki miejskie. Tylko Petersburg i Moskwa przewyższają Warszawę pod względem liczby ludności, a pomimo to 282 *) miasta Cesarstwa posiada własne swoje banki, zasilające kredytem miejscowych kupców, rzemieślników i właścicieli domów, Warszawa zaś ze swoją przeszło 400,000 ludnością, ze swoim trzymiljonowym budżetem rocznym, ze swoim wysoko rozwiniętym przemysłem i handlem obszernym, instytucji tej jest pozbawioną.

Przyczyną tego jest brak samorządu miejskiego, któryby podjął inicjatywę i instytucję do życia powołał. W takich warunkach początkowanie należy do prasy, a wykonanie do magistratu, zastępującego u nas radę miejską.

Banki miejskie zakładane są na zasadzie normalnej ustawy, Najwyżej zatwierdzonej w dniu 6-ym lutego 1862-go r., a uzupełnionej uchwałą rady państwa z dnia 26-go kwietnia 1883-go r.

Ustawa normalna nie wymaga wielkiego kapitału zakładowego, suma 10,000 rs. wystarcza do zało-

(*) Cyfry tyczące się rosyjskich banków miejskich, odnoszą się do początku roku 1884-go i wyjęte są z bilansów do dnia 1-go stycznia tegoż roku.

żenia instytucji. W bankach rosyjskich kapitał zakładowy utworzony został już to z zapasowych kapitałów miejskich, już to z ofiar na ten cel przez obywateli złożonych, a z biegiem czasu wzrastał z zysków przez banki osiągniętych i do kapitału zakładowego dołączanych. Z takich źródeł powstał fundusz, dochodzący do 23,962,000 rs. kapitału zakładowego i 5,168,000 rs. kapitału rezerwowego, to jest do sumy niemal wyrównywającej kapitałom zakładowym i rezerwowym banku państwa, wszystkich ego kantorów i oddziałów.

Zapasowy kapitał miasta Warszawy, wynoszący 392,725 rs. 28 kop., a ulokowany w Banku polskim na 3%, mógłby w części być przeznaczonym na kapitał zakładowy banku miejskiego, z wielkim pożytkiem tak dla funduszów miejskich, jakoteż dla obywateli miasta.

Kapitał obrotowy banków miejskich stanowią wkłady, które dawniej dochodzić mogły do sumy nieograniczonej, co wywołało w niektórych bankach nadużycia, jak np. w głośnym banku skopińskim, a które na mocy prawa z r. 1883-go ograniczone zostały do pięciokrotnej wysokości zakładowego i rezerwowego kapitału danej instytucji. Jeżeli zważymy, że kasa oszczędności, znajdująca się przy magistracie m. Warszawy, pomimo ograniczenia wniosków do 300 rs. i pomimo znanych utrudnień tak przy składaniu, jak podnoszeniu wniosków, zdołała zebrać 1,626,482 rs., to o dostateczną ilość wkładów do banku miejskiego żadnej nie ma obawy.

Kapitały zakładowe i obrotowe banki miejskie przeznaczają na skup weksli, tudzież na pożyczki na zastaw towarów, papierów procentowych, kosztowności i nieruchomości miejskich. Suma dyskontowanych weksli wynosi w 282-ch bankach miejskich rs. 92,220,000, pożyczek rs. 62,341,000. Portfel weksli banku państwa, wszystkich jego kantorów i oddziałów wynosił w dniu 1-ym listopada r. 1885-go sumę rs. 99,274,811, a suma pożyczek udzielonych na zastaw towarów i papierów procentowych rs. 35,789,127. Z porównania tych cyfr przekonać się można, jak silnie banki miejskie uzupełniają działalność kredytową banku państwa.

Banki miejskie, nie będąc przedsiębiorstwem prywatnem, na zysk obliczonem, ale instytucją użytku publicznego, korzyści z operacyj osiągnięte przeznaczają na cele dobra ogólnego. Część zysków idzie tedy na utworzenie kapitału rezerwowego banków, inna na powiększenie kapitału zakładowego, reszta na potrzeby miasta i zasiłki dla zakładów dobroczynnych i naukowych, jako to: szpitali, szkół itp. Ze źródła tego fundusze miast, w których się znajdują banki, otrzymują corocznie zasiłek około miljona rubli, a zakłady dobroczynne i naukowe około 800,000 rs. Już sam ten wzgląd powinien być dostateczną pobudką do zakładania banków miejskich, naprzód w Warszawie, a za jej przykładem po miastach prowincjonalnych.

W jednym tylko względzie musiałyby banki miejskie Królestwa odstąpić od normalnej ustawy, z powodu różnicy pomiędzy ustrojem zarządu miejskiego u nas i urządzeniami miast w Cesarstwie. Jak municypalność nasza nie wychodzi z wyborów, ale mianowana jest przez koronę, tak też z zarządu banku miejskiego musiałby być wyłączony żywioł wyborczy, na którym oparta jest administracja banków miejskich w Cesarstwie.

Spełniwszy przez podjęcie inicjatywy zadanie publicysty, pozostawiamy szersze obrobienie tej myśli i wprowadzenie jej w wykonanie tym, do których to z urzędu należy.

J. Kirszrot-Prawnicki.

Przesądy i postęp w meteorologji.

Na mało urodzajnem polu naszej pracy naukowej rok ubiegający upamiętnił się faktem istotnej doniosłości.

Mówimy tu o założeniu rozrzuconych po kraju stacyj meteorologicznych, ze stacją centralną przy muzeum rolnictwa i przemysłu; a chociaż o sprawie tej dużo już mówiono, nie mówiono jednak nadto.

Przedmiot bowiem, którym się meteorologja zajmuje, dotyczy nas bezpośrednio; ciepło i zimno, deszcz i pogoda, burza i susza, cały przebieg zjawisk atmosferycznych układa się nam przyjaźnie lub wrogo, oddziaływając zarówno na losy rolnictwa, hygieny publicznej, żeglugi. Dobrobyt nasz i zdrowie od warunków tych zależą.

Człowiek był zawsze igraszką tych czynników; uderzyły też one wyobraźnię jego i zajęły umysł wcześniej, aniżeli inne objawy otaczającego go świata, dlatego też początków meteorologji szukać należy w starożytności bardzo odległej. Pomimo wszakże tak długich jej dziejów, charakter istotnej nauki przyjmuje ona dopiero w ostatnich czasach, uważać ją można bodaj za najmłodszą gałąź wiedzy przyrodniczej.

Powolny ten rozwój meteorologji tłumaczy się dostatecznie trudnościami, z jakiemi walczyć musi; objawy bowiem atmosferyczne są następstwem przyczyn tak licznych i zawiłych, że przebieg ich wydaje się nam zupełnie bezładnym, dowolnym.

Porządek w następstwie objawów astronomicznych zdołali już najdawniejsi uchwycić obserwatorowie; objawy meteorologiczne napozór żadnej nie ulegają prawidłowości, dlatego to astronomja już u narodów starożytnych stanęła na wysokim stopniu rozwoju, gdy meteorologja tak długo ze stanu zupełnego dzieciństwa wydobyć się nie zdołała.

Tam wszakże, gdzie prawidłowości człowiek dostrzedz nie może, przywykł odwoływać się do wpływu sił nadprzyrodzonych: badanie naukowe ustępuje miejsca polotom wyobraźni, a postęp staje się niemożliwym. U wszystkich też narodów starożytnych znajdujemy głęboko zakorzenioną wiarę, że stanem pogody rozporządzają istoty wyższe, że od ich woli zależy deszcz i pogoda, a burze i wichry są ich igraszką.

Pogląd ten najsilniej wyraża się w Biblji: deszcz we właściwym czasie zsyła Jehowa w nagrodę za cnoty, za grzechy grozi suszą i nieurodzajem, sprowadza wiatr północny lub południowy, mocą swoją tworzy chmury gradowe, grzmotem wstrząsa ziemię.

Podobnież i grecy rozporządzanie stanem pogody powierzają swym bogom, a władca bogów jest też nieograniczonym władcą wszystkich sił natury. Na szczytach gór zbiera Zeus wilgoć powietrza, skupia ją w chmury, a ulegając prośbom i ofiarom kapłanów, orzeźwia deszczem usychającą ziemię.

U rzymian piorun i błyskawica stanowią oznaki władzy Jowisza. *Jupiter tonans*, *fulgurator*, rozporządza grzmotem dowolnie; a na zasadzie podań historycznych upewnia Plinjusz, że prośby i ofiary mogą burze oddalać lub sprowadzać je na nieprzyjaciela. I Perun słowiański, podobnie jak Tor germański dzierżą piorun w swej dłoni i rządzą nim samowładnie.

Przyjazne i szkodliwe dla człowieka objawy sił natury, dobroczynne i szkodliwe ich wpływy powiodły do pojęć o duchach złych i dobrych. Ormuzd i Aryman, bóg światłości i ciemności, bóg biały i czarny, walczą ze sobą, a kolejne ich zwycięstwa i klęski stają się dla człowieka błogosławieństwem lub zgubą. Są jednak sposoby, zaklęcia, którym ulegają zgubne te dla człowieka siły; są ludzie, którzy znają wszystkie te praktyki tajemne i ich mocą umieją klęski te sprowadzać, albo też odwracać. Wiara w moc czarów ciągnie się przez długie wieki i łączy ściśle z pojęciem, że mocy tej ulegają zjawiska atmosferyczne, czego dowodem są liczne rozporządzenia, wydawane przeciw tym, co sprowadzają grady i wichry.

Jakkolwiek rozpętana wydawała się samowola żywiołów, to wszakże jawnym być musiał porządek, który w bezładzie tym pod wpływem słońca się ustala. W majestatycznym spokoju obiega słońce drogę swą śród gwiazd, sprowadzając zawsze regularny powrót pór roku, darząc ziemię ciepłem lub pokrywając ją całunem zimowym. Stateczność ta wszakże oddziałała na wyobraźnię raczej człowieka, aniżeli na jego zmysł badawczy. Jeżeli wpływ tak przeważny na objawy przyrody ziemskiej wywiera słońce, to niewątpliwie pewna rola przypadać musi i innym ciałom niebieskim, tym zwłaszcza, które, podobnie jak słońce, stanowisko swe względem ziemi zmieniają. W układach ciał niebieskich wypisane są losy człowieka i wskazany cały przebieg zjawisk przyrody; kto w księdze tej czytać potrafi, wydobyć z niej może proroctwa niewątpliwe. Na tle takich pojęć, które się głęboko w umysły wryły, rozwinęła się astrologja i wykształciła w system rozległy.

Z położenia gwiazd wysnuwano przepowiednie pogody na cały rok z góry, ogłaszano nawet kalendarze stuletnie, wieczyste. Wiara w astrologję ciągnęła się niemal do ostatnich czasów, zwolna tylko tracąc swych adeptów, aż wreszcie przepowiednie w kalendarzach zeszły na łaskę zecerów i dotąd się z nich zupełnie usunąć nie dały. Jedyną pozostałością tego astro-meteorologicznego kierunku jest jeszcze dziś wiara we wpływ księżyca, w jego nów i pełnię, w pierwszą i drugą kwadrę. Gdy mrzonki ustąpić musiały miejsca ścisłym badaniom, chciano pogląd ten ocalić, odwołując się do ruchów atmosferycznych, które pod wpływem księżyca, podobnie jak przypływ i odpływ morza powstawać mogą. Pod ciosami wszakże krytyki naukowej i wpływ ten mniemany zejść musiał do zera nieledwie.

Wobec przeciwników tak potężnych, wobec przesądów tak głęboko w umysły zakorzenionych, którym ulegały najwybitniejsze nawet umysły, meteorologja w naukę istotną rozwinąć się nie mogła. Przed dwustu zresztą dopiero laty otrzymała ona dwa najważniejsze swe przyrządy obserwacyjne — barometr i termometr. I znowu trzeba było dwóch stuleci, aby z przyrządów tych należycie korzystać się nauczono.

Niedosyć bowiem w pokoju swym umieścić barometr, a za oknem termometr zawiesić, aby być prorokiem pogody, gdyż deszcz, który u nas pada, nie u nas się tworzy: sprowadzają go nam wiatry z wód dalekich. Wiatry są następstwem stanu atmosfery w różnych okolicach ziemi; gdy znamy w danej chwili rozkład ciśnienia powietrza na ziemi, znamy też kierunki wiatrów w najbliższej przyszłości, a tem samem mamy możność przewidywania pogody.

Wymaga to, jak widzimy, całej sieci stacyj meteorologicznych, związanych ze stacją centralną, która obserwacje ich zbiera i rezultaty takiego zestawienia ogłasza.

W znaczeniu takiem, jako nauka o ruchach atmosfery, meteorologja bardzo młodą jest nauką, a proroctwa jej, na systemacie obserwacyj współczesnych oparte, sięgają zaledwie na dzień lub dwa dni z góry. Pomimo to w krajach, gdzie służba meteorologiczna należycie jest uorganizowana, oddaje ważne usługi żegludze i rolnictwu.

Zdobycze te meteorologji praktycznej bardzo skromnemi zapewne wydają się wobec szumnych przepowiedni astrologicznych; ale właśnie na tej należytej ocenie sił własnych polega postęp istotny. Znaczenie stacyj meteorologicznych nietylko wszakże czysto jest praktyczne; materjały przez nie gromadzone stanowią podstawę, na której się nauka rozwija, a w miarę postępów metecrologji teoretycznej doskonalić się też będzie i meteorologja praktyczna.

S. Kramsztyk.

CZARODZIEJSKI KWIAT.

Raz się chłopcu przyśnił kwiatek,
Dziwnych barw i dziwnej woni:
Ni to róża, ni bławatek,
Coś z narcyza i lewkonji.

Tak puszysty, jak sukienka
Pląsającej balleriny;
A łodyżka pod nim cienka,
Niby nitka pajęczyny.

A woń taka przejmująca,
Że raz tylko jej skosztować,
Toby chciało się bez końca
Marzyć, kochać i całować.

Chłopiec krewki był i młody,
Więc rzekł sobie: „Wszystkie w świecie
Zwiedzę łąki i ogrody,
A mój kwiatek znajdę przecie.

Znajdę, zerwę i... zasuszę!
Choćby zajść aż pod obłoki,
Stracić nogi, zgubić duszę!"
Rzekł—i w podróż szedł bez zwłoki.

Spotkał różę przewspaniałą,
Lecz nie spojrzał na nią prawie.
W bok odsunął lilję białą
I fijołka zdeptał w trawie.

I szedł dalej, śpiesząc srodze,
Gwoli jednej wciąż pobudki,
I nie zerwał—ach! po drodze
Nawet żadnej niezabudki.

W tem spotyka go boginka,
Dobroczynna lasów wróżka,
Filuterna u niej minka,
Drobna rączka, drobna nóżka

I tak rzecze: W ludzkiej głowie
Żaden zamiar mi nie obcy;
A już lepiej nikt nie powie
Niż ja—o czem marzą chłopcy!

Lubię chłopców za ich oczy!
Radzę im, pomagam, wróżę,
Słuchaj! kwiatek twój uroczy,
Na wysokiej rośnie górze.

Górę oplótł pas ruczai
I porosły ją w krąg bory,
A w ruczajach wir się czai,
W borach czają się potwory.

Gdyś odważny, idź wytrwale,
Kwiat twój zwiędnąć tam nie może,
Bo—jak w każdym ideale —
Trwa w nim wieczne tchnienie Boże.

Gdybyś jednak stracił siły,
Zląkł się przeszkód, zmienił plany,
Masz skrzyneczkę—w niej, mój miły,
Znajdziesz kwiat—lecz malowany.

Pomnij tylko na przestrogę:
Losu w tem nie przeinaczysz,
Gdy tu zajrzysz, zmylisz drogę
I żywego nie zobaczysz."

Chłopiec odrzekł: „Piękna pani,
Wdzięcznym wiecznie ci zostanę,
Lecz jam nie z tych, którzy w dani
Biorą kwiaty... malowane.

Albo żywe, albo żadne!
Cóż z martwego mi obrazka?
Tylko w kłopot z nim gdzie wpadnę;
Zabierz dar twój, jeśli łaska."

Wróżka dziwną jakąś minkę
Nastawiwszy, w głos parsknęła,
I nim zdążył oddać skrzynkę,
Już nie było jej—zniknęła!

Cóż tu robić? Rzucić? Szkoda!
Dar kobiety się ocenia,
Mała też z nim niewygoda,
Więc go schował od niechcenia.

Poszedł—przebrnął wiry owe,
W las zapuścił się głęboko,
Jednej hydrze urwał głowę,
Drugiej hydrze wybił oko,

A przed trzecią zemknął z drogi
Bo mu ciągła walka brzydła,
Bo poznawał, że ma nogi —
Gdy wprzód wierzył, że ma skrzydła.

Lecz szedł dalej do wieczora;
Już miał rzucić leśne cienie,
Aż w tem wyszła straszna zmora,
Najstraszniejsza: Zniechęcenie!

I stanęła niewzruszona,
Z paszczą senną, w pół otwartą,
Chłopiec w górę wzniósł ramiona
I rzekł sobie: „Czy to warto?

Cóż mi z tego i co światu,
Że odnajdę kwiat na szczycie?
Czyż nie można żyć bez kwiatu,
By dla niego tracić życie?

Tchu mi braknie, nogi mdleją,
Tu nie starczy ludzka siła,
Mądrzej rozstać się z nadzieją
Niż dopuścić, by z nas drwiła.

Ciekawości czyniąc zadość
Toż z nią mogę wejść w układy;
Sprawię sobie sztuczną radość
I otworzę dar Dryjady!

Bym sam z siebie nie mógł szydzić,
Żem daremne poniósł trudy,
Niechaj ujrzę, com miał widzieć,
Choćby tylko mocą złudy."

. . . .

Chłopca tego wy, rówieśni,
Was ostrzegam słowy temi:
Niechże wam się nigdy nie śni
Kwiat za piękny dla tej ziemi,

Bo niebacznie podepczecie
Żywe róże w tej pogoni,
Aby stanąć... nie na mecie
Z malowanym kwiatem w dłoni.

Hajota.

SYN SŁAWY.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA W JEDNYM FEJLETONIE.

Przedmowa Wydawcy.

Utalentowany autor niniejszej powieści wziął sobie za zadanie dla wyrównania swojego budżetu skorzystać z okoliczności, iż gust czytelników zwrócił się ku powieści historycznej. Zamierza on tedy w całym szeregu pomnikowych utworów przesunąć po przed oczy zdumionej publiczności historję rodu ludzkiego, poczynając od epoki, która nastąpiła bezpośrednio po niedojściu budowy wieży Babel. Powieść niniejsza jest pierwszą w tym szeregu; nie możemy jej puścić w świat, nie zwróciwszy już z góry uwagi czytelnika na niezrównaną wierność kolorytu i na przedziwnie dosadnią charakterystykę działających postaci. Nawiasem dodamy tu jeszcze, że autor nie trzymał się oficjalnej historji, ale korzystał ze źródeł jemu tylko dostępnych.

ROZDZIAŁ I.

Na drodze do sławy.

Kilka tysięcy lat przed wybuchem kwestji o granice Heratu, u zachodnich stoków Hindukuszu wiła się wąska drożyna, w lecie dostarczająca całej okolicy zapasów kurzu, a w jesieni mogąca całą środkową Azję zaopatrzyć w błoto. Drożyną tą pewnego pięknego wieczora toczył się lekki kabrjolet, zaprzężony parą myszatych koni—innej bowiem maści nie znano w czasach, kiedy człowiek zaledwie był oswoił konia i nagiął go do swoich celów. Na koźle siedział woźnica i lokaj w liberji, na której guzikach widzieć można było herb Korab', zdradzający wprawnemu oku heraldyka, że ekwipaż należał do któregoś z potomków patrjarchy Noego w prostej linji.

W istocie też siedział w kabrjolecie po prawej stronie starzec, o typie tak wybitnie anti-semickim, że każdy na pierwszy rzut oka poznać w nim musiał Japeta, protoplastę ludów aryjskich. Obok niego siedział słuszny mężczyzna, o jasnym zaroście, wodnisto-niebieskich oczach i surowym wyrazie twarzy. W ustach trzymał pypkę od cybucha, na którego końcu przytwierdzoną była wysoka porcelanowa fajka z odlewką blaszaną. Pypkę tę wyjmował tylko z ust, ażeby huknąć od czasu do czasu grubym basem:

— *Der Teufel!*

Jak widzimy, był to Teut, jeden z synów Japeta od tej serji żon, które były matkami ludów indoeuropejskich. (Druga serja wydała, jak wiadomo, ludy Zend, a trzecia ludy sanskryckie). Na przedniem siedzeniu znajdował się młody chłopak w kaszkieciku, przez którego lekką materję przebijały się na wylot trzy włosy, prosto do góry sterczące.

— Tak jest! — ozwał się Japet. Roman i Hellen wyszli pierwsi; po nich wysłałem Kelta, a teraz kolej na was, to jest na Assarmota i na ciebie. Większa część Europy czeka, ażebyście ją zaludnili.

— *Der Teufel!* — huknął Teut, puszczając wielki kłąb dymu.

— Proszę dziadka, czy stryj Assarmot ma dużo chłopców?

— O, jest ich dosyć: Lech, Czech, Chorw, Serb, Korut i inni. A tobie na co tej wiadomości, Bisiu?

— Chciałem wiedzieć, czy będzie komu czyścić mi buty w drodze do Europy.

— Wybyście zaraz wszystkich chcieli mieć waszymi niewolnikami. To nie zgadza się z programem dziejowym, który powiada: *Chacun chez soi, chacun pour soi.* Tymczasem donoszą mi, że Kelt, zamiast zająć spokojnie Galję i Brytanję, jak mu poleciłem, tłucze się gdzieś jeszcze po Sarmacji, po Grecji i po Małej Azji. Jeno czekam, rychło-li uderzy na Rzym. Moja żona wysłała już nawet cały transport gęsi, ażeby broniły Kapitolu. Rzym i Grecja, mości dobrodzieju, mają wyrobić cywilizację starożytną, której wy następnie liznąwszy po trochu, wyrobicie nowożytną...

— *Der Teufel!* — zauważył Teut.

— Na nieszczęście, ty, mój Teutku, jesteś nadto gwałtownym. Zaledwie dostaniesz się do Europy, zaczniesz rozbijać wszystkich: Kelta, Romana i Hellena. Dla równowagi więc wyszlę wraz z tobą Assarmota. Nie tęga to wprawdzie rasa, ale liczna. Z jedną żoną, Sławą, ma 34-ch synów; z drugą Lettą, pięciu; a znajdzie się jeszcze także nieco potomstwa... wątpliwego. Gdybyś chciał nadto brykać, zdusi cię ta masa...

— *Der Teufel!* — mruknął olbrzym, i właśnie w chwili, w której ojciec narodów aryjskich chciał zażyć tabaki, wyrodny Teut chwycił go za kołnierz u letniej zarzutki i wyrzucił z kabrjoletu na drogę.

Kabrjolet potoczył się dalej, jak gdyby się nic nie stało, a Japet nie wiedział, czyli ma dalej zażywać tabakę, czy podnieść się z ziemi. W tem nadbiegł jakiś przystojny i żwawy na oko młodzieniec, podniósł staruszka z ziemi, otrzepał go z kurzu i zaciskając pięść, zawołał za pędzącym dalej ekwipażem:

— O! ty, żółtobrody potworze! Gdyby nie Hulda, tobym ci psiakrew wszystkie gnaty w twojem ścierwie pogruchotał!!!

— Ktoż ty jesteś mój młody panie?

— Jestem Lech, syn Assarmota i Sławy, i proszę do nas na podwieczorek.

— Ależ to daleko na piechotę—rzekł Japet.

— O, nie—przejdziemy tu przez płot, i będziemy mieli zaledwie kilkadziesiąt kroków.

— Przez płot?—stęknął patrjarcha—ale, prawda! wszak to obejście Assarmota! u nich zawsze będą takie porządki!

Uwaga ta odnosiła się do tej okoliczności, że w płocie znajdował się wyłom, przez który wygodnie można było przejechać czwórką zaprzężoną w porecz. Drugą podobną uwagę zrobił Japet u wejścia do dworu Assarmotowego, przed którego drzwiami w ogromnej kałuży pływało kilka kaczek. Przez kałużę prowadziła do drzwi deska tak sztucznie położona, że skoro stąpiłeś na nią, zanurzała się w wodzie.

— Tacy to oni będą zawsze — rzekł Japet z dobrodusznym uśmiechem.

ROZDZIAŁ II.

U kolebki narodów.

— Prawda' ojcze —rzekła Sława mdlejącym głosem, podczas gdy Japet wyciągał się w fotelu—prawda, że Assarmot powinien kupić mi złoty naszyjnik?

— Ależ, moja droga—odpowiedział jej teść—przedewszystkiem nie popełniajmy anachronizmów. Jesteśmy dopiero w epoce krzemiennej, co najwięcej tedy, możesz mieć naszyjnik z glinianych paciorków, albo z muszli, nanizanych na baranią strunę. Wyobraź sobie, coby począł pan Kirkor, gdyby kiedyś obok mojego krzemiennego miecza i mojej tabakierki ze słoniowej kości, znalazł twój złoty naszyjnik? Cała nauka araheologji wywróconą by była do góry nogami. Poczekaj, gdy dojdziemy do epoki bronzowej, da się może przemycić i złoto.

— A to co?dodał po chwili — wskazując posążek, który się znajdował na kominku.

— To jest bóg Perun—odrzekł Assarmot — pożyczyłem go od Teuta, bo dzieci pozatracały gdzieś te wszystkie bogi, któreście mi dali, ojcze. A jakiegoś boga zawsze przecież potrzeba w domu.

— Głupiś! przestrzegałem cię przecież zawsze, żebyś się nie kłaniał obcym bogom. Mówiłem ci, że masz przejąć się pojęciami Zenda o Białym bogu, który zwycięża Czarnego. Ten twój biały bóg, to słońce, które nazwiesz z początku *Krokiem*, bo *kroczy* codzień od wschodu ku zachodowi. A persowie nazwą je *Choda*, z tej samej przyczyny. A teutonowie nazwą je *Gott*, ponieważ *er geht*. I wyobrazisz sobie, że jest to mąż z ogromną, okrągłą, płomienistą tarczą, i z dzidą. A rzymianie poznają w tem swojego Marsa, i nazwą go *Gravirus*, to jest kroczyciel, krok. A ponieważ słońce cały świat widzi, więc wyobrazisz je sobie także jako męża o czterech twarzach, zwróconych na cztery strony świata, i nazwiesz go Światowid. Słońce zaś jest dobroczynne, łagodne i życiodajne: to bóg dla ciebie i twoich. Dla Teuta zaś, a nie dla was jest Perun, bóg postrachu i pomsty, groźny i nieubłagany.

— O! tego Teuta muszę ja nauczyć rozumu—odezwała się Sława, grożąc pięścią.

W tem zaturkotało coś przed domem.

— Stryjcio Teut przyjechał! — zawołały dzieci, klaszcząc w dłonie, nie jakoby szczególnie kochały Teuta, ale ponieważ dzieci zawsze rade są, gdy się zdarzy co nowego.

— Wrrmrr!—mruknął Teut, wchodząc do pokoju, i natychmiast bez ceremonji rozciągając się na kanapie.

Miało to zapewne znaczyć: dzień dobry.

— *Servus!*—zawołał Bisio, wbiegając za ojcem.

— Całuję rączki brata dobrodzieja—rzekł Assarmot—upadam do nóżek synowca dobrodzieja!

— Mógłbyś pójść — rzekła Sława—i z klucznicą razem wydać dzieciom podwieczorek, zamiast całować i upadać.

Assarmot wybiegł z pokoju, a dzieci za nim. Nastąpiło półgodzinne milczenie, przerywane tylko odgłosem, jaki wydawał Teut, puszczając dym z fajki. Naraz atoli napełnił się dom cały przeraźliwym jękiem i Lech wbiegł do pokoju, a za nim Korut, Lutyk i kilku innych.

— Co się stało, na wszystkie bogi? — zawołała Sława.

— Czech zjadł mi podwieczorek — zawołał Lech, płacząc.

— I mnie także! i mnie także!—powtórzyli inni.

Ale jeszcze raz otwarły się drzwi i wpadł przez nie Czech, już nie płaczący, ale ryczący w niebogłosy, za nim zaś Bisio, który go okładał kijem.

— Ten Spitzbub odjadł wszystkich, i chciał mnie także odjeść, ale mu dałem naukę—rzekł syn Teutae

— A! to pięknie w cudzym domu rozbijać dzieci; —zawołała Sława. Chodź tu Czesiu, chodź tu moje najdroższe dziecię, niech cię pocałuję. To potwory-jeden mi bije syna, a drugi rodzonego ojca z kabrioletu wyrzuca na drogę! czy pan brat nie znasz czwartego przykazania?

— *Vier, ist Sabbath*—rzekła z flegmą Teut.

— Przepraszam, to trzecie!

— *Der Teufel!*—odparł Teut.

— No, no, uspokójcie się — rzekł Japet; podług Starego Zakonu i tablic, danych na górze Sinai, czwarte przykazanie nakazuje szanować dzień święty, a piąte, rodziców. W katolickiej religji zaś drugie przykazanie będzie opuszczone, a więc...

— E, co tam!—fuknął Bisio.—Jeszcze nie ma żadnych przykazań, bo jeszcze nie było Mojżesza. Zresztą papa miał *Recht*, że wyrzucił starego z powozu a gdyby nie miał *Recht*, to miał *Macht*. *Macht geht vor Recht.*

— O, wy potwory, wy rozbójniki; ja wam oczy wydrapię!—krzyknęła Sława i rzuciła się na Bisia z największą furją.

— *Der Teufel!*—zagrzmiał Teut, i nie tracąc więcej słów, wziął babę w dwa palce i wyrzucił przez okno prosto w kałużę, w której pływały kaczki.

Poczem obydwaj z Bisiem ułożyli się spokojnie do snu.

ROZDZIAŁ III.
Liberum veto.

Gdy Teut z Bisiem zajęli dla siebie świetlicę, cała rodzina Assarmota przy blasku łuczywa zgromadziła się w piekarni, pod prezydencją Japeta. Oburzenie było ogólne, i udzieliło się nawet parobkom i dziewkom. Ekonom stał w kącie i naprzemian ruszał to wąsem! to ramionami. Jednomyślnie przyjęto zdanie, że tylu obelg niepodobna puścić płazem, i że należy zabezpieczyć się na przyszłość od przewagi Teuta i jego potomka. Czech wyłuszczył w długiej mowie, że jeden z braci powinien zakraść się do świetlicy i obydwu śpiącym gościom dać nawąchać się chloroformu, amylinitrytu. Następnie drudzy mieli wejść i związać ich postronkami, a nakoniec Czech, uzbrojony w wielki nóż kuchenny, miał wyekspedjować na łono Peruna i stryjaszka swojego, i kuzyna. Już się zabierano do wykonania tego dzieła, gdy w tem Lech stanął na progu, i zasłaniając sobą drzwi zawołał:

— Nic z tego! Niepozwalam! Póki ja jestem w tym domu, ani włos z głowy nie spadnie Teutowi!

— Jak to, ty go bronisz? Czy zrobił ci kiedy co dobrego, że stajesz po jego stronie? Zakochałeś się w nim widocznie!

— Nienawidzę go, równie jak wy; ale kocham, o! kocham nad życie jego córkę, jasnowłosą, modroską Huldę. Poślubię ją wkrótce; żąda on za nią czterdzieście cztery sztuk bydła.

— O mój Boże! cóż to będzie za stadło! — zawołała Sława—i co za potomstwo!

— Potomstwo, jak w książce: Z matki obcej, krew jego dawne bohatery. A te dawne bohatery, to dziadzio Japet, tatunio Assarmot i ja. A imię jego będzie czterdzieście i cztery to jest dziesięć wołów i krów, dziesięć koni, dziesięć owiec, dziesięć świń i cztery pantarki.

— Ale zkądżeż ty to weźmiesz, hołyszu? — zapytał Japet.

— O! nie bójcie się, mam już promesę baktryjskiego banku na pożyczkę hipoteczną na moją schedę.

— Tacy to oni będą zawsze! — rzekł Japet z dobrodusznym uśmiechem.

Lech zaś dalej rezonował, perswadował i prosił; aż w końcu udało mu się przebłagać nawet Sławę, ażeby wstawszy rano, zrobiła gościom kawy. Po kawie zaś rozjechali się wszyscy w dość dobrej komitywie.

ROZDZIAŁ IV.
„Gdy się rycerze pożenią, trubadur kończy powiastkę."

— Huldo—rzekł Teut do córki—ten oto młodzieniec nazywa się Lech, i jest synem Assarmota.

— *Ja, Herr Vater.*

— Zapłacił mi za ciebie sztuk bydła czterdzieście cztery. Będziesz tedy jego żoną i możecie sobie ruszać oboje natychmiast na złamanie karku.

— *Ja, Herr Vater.*

W parę dni później bank baktryjski wystawił na licytację schedę Lecha, Assarmotowego syna. Ale środek ten prawny nie odniósł skutku, ponieważ Lech z Huldą i z całym rodem Assarmota był już w drodze do Europy, gdzie czekały na nich nowe siedziby. Bank popadł w likwidację, która ciągnie się dotychczas w C. K. sądzie krajowym we Lwowie.

Jan Lam.

K O N I E C.

FRAGMENT
(z dramatu: „NIEWOLA BABILOŃSKA".)

. . . .

RACHELA.

A więc nie kochasz mnie już!... O! Sesbasar!...

SESBASAR (*ze zniechęceniem*).

I to być może!

RACHELA.

Ha! przyznajesz wreszcie!?

SESBASAR.

Czy ja przyznaję? — nie wiem!... Czy ja żyję?
Nie wiem!... Czy mógłbym żyć dziś jeszcze? — Nie [wiem!...
Jedno wiem tylko: ziemskie miłowanie,
To złota czara napełniona sokiem
Winnej jagody z gorzkich łez przymieszką...
Jakże to pierwszy haust tego napoju
Pije się chętnie!... Jak my go piliśmy!
Rachel, czy pomnisz to?...

RACHELA.

Sesbasar!

SESBASAR.

Ale
Jak to minęło szybko!... Drugie hausty
Piłem już chłodniej i ty chłodną byłaś —
Nareszcieśmy się dna dopili!... Rachel,
Spełniona czara już!... Na spodzie męty
I żółć znalazłem, łzy i zniechęcenie!
Rachel, te męty dławią mnie!

RACHELA (*z bólem*).

Sesbasar!

SESBASAR.

Niech co chcą, mówią—lecz jest jakaś ręka,
Która rozdziela śmiertelnym na ziemi
Łzy i uśmiechy... Podział sprawiedliwy!...
Jeśliś z początku wziął uśmiechów garstkę,
Łzy cię czekają — i odwrotnie... Rachel,
Myśmy już wszystko dobre odebrali
I z lichwą!

RACHELA.

Dosyć! Nie kończ! Nie zabijaj!...

SESBASAR.

Czemu drżysz?... Czyż-byś wolała, bym kłamał,
Siebie i ciebie oszukując?... Głupia!
Wolę powiedzieć ci: Uczta skończona!
Należy nam się spoczynek... ten smętny —
Długi i cichy...

RACHELA.

Sesbasar!

SESBASAR.

Mów szczerze,
Czego brakuje ci jeszcze, kochanko
Ty mej młodości — odwagi czy noża?
Jeżeli pierwszej, mów, to będę musiał
Pomódz ci do snu tego... O! Rachelo!
Słuchaj mię, życie nie jest tak złem jeszcze,
Jeśli je można rzucić!... Otóż gorzki
Jestem — nieprawdaż?... Ha, to właśnie męty,
O których ci już mówiłem... No, dalej!
Tam czeka na nas śmierć... Chodź szybko!...

. . . .

Juljan Łętowski.

W nocy.

Jak sklepieniem więziennem, ściele się pomroką
Noc, ponad ziemią bez końca...
Lecz tę otchłań ciemności przebija me oko
I czuje—obecność słońca.

Wśród ciszy tajemnicze przebiegają szmery,
Słychać gwar jakiś stłumiony:
To gdzieś puszczyk ze starej zwiastuje rudery
Nowe zniszczenia i zgony;

To czyjś nagle w powietrzu zabrzmi krzyk boleśnie,
To echa niosą zgiełk dziki;
Po bagniskach nad zgniłe wydarłszy się pleśnie,
Krwawe migocą ogniki.

Z głębi kniej zwierz drapieżny mknie śmiało na łowy,
Zbójca do domu się wkrada,
Na cmentarzu zawodzi taniec zagrobowy
Przeklętych duchów gromada.

Zatopiłem źrenice w czarnem wnętrzu świata:
Jak groźny!... jaki ponury!...
Ale myśl ma ku brzaskom odległym ulata,
Ufna w porządek natury.

Żaden, ledwie zatlony promyczek maleńki
Skryć się nie może przedemną;
Tem jaśniej każdy widzę blady ślad jutrzenki,
Że wkoło ciemno... tak ciemno!...

D. Henkiel.

Dawna piosnka.

— Graj to jeszcze, graj proszę! — zawołał mój towarzysz.

Byliśmy razem we dwóch w dalekiej krainie, sprzęgnięci jednaką dobrą czy złą dolą. Mrok wieczorny zapadał, na kominie dogasał ogień, czasem tylko strzelając żywszym blaskiem, a wówczas migotliwe światło padało na obszerny pokój z prostemi sprzętami, wśród których nie wiem zkąd zawieruszył się stary fortepian.

W tej niepewnej, ponurej godzinie myśl moja puszczona swobodnie jak dusza Anhellego, uwolniona z ciała zaklęciem szamana, biegła wprost ku południowi złotym blaskiem wspomnień.

Wspomnienia przyniosły mi jakąś nutę powszechnie znanej piosnki, piosnki zwyczajnej, o ustach koralowych, o czarnych oczach, o sercu bijącem namiętnie. Ot, po prostu, jakieś odległe echo chwil minionych, a ręka wygrywała je bezwiednie na starym, rozbitym, rozstrojonym instrumencie, który co chwila mieszał do melodji dzikie dysonanse.

— Graj to jeszcze—powtórzył mój towarzysz głosem prośby, głosem, który także zdawał się wychodzić z rozstrojonej piersi.

Spojrzałem, odblaski płomienia rzucały krwawe światło na twarz jego i wyraźnemi czyniły jej bruzdy i szramy.

Twarz to była jakby zastygła, jakby skamieniała pod ręką losu; dawniej błyszczały w tych surowych oczach miękkie uczucia, ścięte wargi uśmiechały się wesoło, miały nawet malinowe barwy. Ale to było kiedyś, w epoce bliskiej laty, dalekiej wypadkami, kiedyśmy obadwaj byli pełni sił, nadziei, życia. Dziś oblicze jego zdawało się wyciosane twardem dłutem nieszczęścia i nie mogłem dostrzedz w nim nic, prócz hardego bólu, który tem głębiej się ryje, im mniej wybucha.

Grałem, a ile razy ręka moja odrywała się od klawiszy lub chciała przejść w inną melodję, słyszałem jego słowa:

— Tamto, tamto!

Słowa były coraz cichsze, dobiegały mnie jak echo dalekie, dusza jego także widać wędrowała ku południowi na dźwiękach pieśni i błagała bym nie przywoływał jej ztamtąd.

Pozostawaliśmy tak czas jakiś pogrążeni w ciemności: jam grał, on jak posąg był nieruchomy. Nagle ogień przygasły strzelił płomieniem i ujrzałem oczy jego we mnie wlepione, błyszczące takim blaskiem, iż byłbym przysiągł, że w nich stały dwie łzy wielkie.

Łez nie widziałem u niego nigdy, a przecież przeżyliśmy razem wiele dni srogich, razem walczyliśmy, razem upadali, cierpieli razem. Więc ta piosnka nie była dla niego jedynie prostem wspomnieniem kraju rodzinnego, młodości i dni jej złotych, ona zapewne łączyła się z jakąś chwilą wybitną, z uczuciem, które kiedyś zapełniało jego serce, a ja wiedziałem jakiej to serce jest miary.

— Więc i ty pamiętasz?—szepnął.

Nie odpowiedziałem nic, pochyliłem się ku niemu, jakby chcąc pochwycić mu słowa na ustach, a z pod moich palców silniej popłynęła nuta.

Nie dodał już ani jednego słowa, tylko myśl moja potrącona nagle wyrazem: pamiętasz, odtworzyła w pamięci obraz przeszłości.

Widziałem go wśród wiejskiego dworu, pełnego w tej chwili ruchu i gwaru, szczęku i brzęku, stał w oknie otwartem na ogród, a przy nim stała kobieta, którą od dawna kochał w milczeniu. On i ona patrzyli na siebie i oczy ich były stokroć od ust wymowniejsze.

Słońce zachodziło spokojnie, chyląc ku ziemi purpurową tarczę, a skośne promienie jego padały na dwie twarze młode a poważne jak twarze starców, bo widziały one wiele nieszczęść i miały je ciągle w koło siebie.

Po za nimi wiatr poruszał fałdy białej firanki, przed nimi była kwiecista zieleń ogrodu, ciemne sylwetki grabów, tworzących chłodne szpalery, i przestrzeń nieba, w tej chwili purpurowa jak krew.

Milczeli oboje. Słowo, jakieby wymówili, musiałoby być wyznaniem. Po cóż je czynić mieli, kiedy przeznaczenie gnało ich w strony różne, kiedy ani on ani ona nie byli panami swego losu.

W tem rozległy się dźwięki fortepianu, ktoś śpiewał, a śpiewał o tem właśnie, co postanowili nie wypowiedzieć nigdy. Piosnka mówiła o czarnych, wielkich oczach, które rzucają czary takie, że zawsze i wszędzie, nawet z pustej przestrzeni, spoglądają na tego, kogo raz urzekły, o koralowych ustach, które gdy raz spoczną na drugich ustach, to już je na wieki swoimi uczynią, a nawet relikwja czaru tego nie zniweczy.

Firanka za nimi kołysała się lekko, przed nimi ogród okrywał się cieniem, byli sami, jakby namiętność oddzieliła ich od reszty świata i wywołała potęgą swoją z cudzej piersi słowa, które ją określały.

Czarne jej oczy tonęły w jego pałających źrenicach, blade czoła nachylały się zwolna ku sobie, aż wreszcie usta złączyły się pocałunkiem.

Zdradne nuty pieśni umilkły nagle, rozwiał czar, który na chwilę jedną pozwolił im zapomnieć o wszystkiem, co stało między nimi.

W chwilę później on, ja i wielu innych byliśmy już daleko.

Odtąd nie widzieli się więcej, pierwszy pocałunek był zarazem ostatnim. Los położył między nich nieubłaganą prawicę. A jednak po latach wspomnienie uśpione zmartwychwstawało na dźwięk jednej pieśni i pomimo rzadkich kropli miodu i potoku goryczy, jakiemi poiło go życie, czuł znowu na ustach „koralowe drugie usta".

— Pułkowniku!—zawołałem—ja pamiętam...

Nie dał mi dokończyć, skinął ręką na znak milczenia. Powstał zwolna i przechadzał się równym, żołnierskim krokiem po pokoju, a ja widziałem tylko niewyraźnie postać jego, snującą sięjak cień pośród ziemi.

Gdy podano światło, był znowu ten sam co dawniej. Zbliżył się do fortepianu i zamknął go gwałtownie, aż wszystkie struny zajęczały.

Były rzeczy, o których myśleć nie chciał. Ale czy nie myślał?...

Walerja Marrené.

Na wiosnę.

Nienawidziłem ją w tej chwili

Ona siedziała pod kwitnącą akacją na rozścielonym pledzie. Wiatr majowy strząsał srebrne kiście na jej jasną główkę, strojąc ją białemi płatkami. Odwróciła się trochę odemnie, tak, że widziałem tylko jej śliczny profil. Mimo tego dojrzałem, że ciemne brewki były zmarszczone, a drobne, wiśniowe usteczka nachmurzone gniewnie.

Ona miała lat siedmnaście, a ja dwadzieścia dwa.

Przed chwilą pogniewaliśmy się na dobre. Zrobiłem jej kilka gorzkich wymówek, nazwałem kokietką, bez serca. Zasłużyła na to.

Wczoraj cały wieczór uśmiechała się do naszego sąsiada, z nim tylko rozmawiała, na mnie nie zważała wcale, jakby mnie w pokoju nie było. Prosiłem ją o różę, którą miała w ręku — odmówiła, a potem tę samą różę widziałem u niego w dziurce od guzika...

Wybiegłem jak szalony z pokoju. Krew mi uderzyła do głowy, bałem się wywołać skandalu, bo nie byłem panem siebie. Wszak ona tak samo, nie, tkliwiej daleko patrzyła na mnie, do mnie się uśmiechała—ja jeden miałem prawo do niej...

A teraz, zwodnica, do innego się uśmiecha, innemu daje kwiat, którego mnie dać nie chciała!...

Przez całą noc spać nie mogłem. Od rana szukałem sposobności, aby zalotnicy rzucić w twarz wymówkę gorzką i nakoniec mi się to udało...

Ale ona dumnie główkę podniosła mówiąc, że postępuje jak się jej podoba i że mnie do tego nic...

Zamknęła mi usta. Jakże tu gniewać się na kogoś, który wcale nie dba o to? Stanowczo nienawidziłem ją na tę chwilę!

Ona i z tego niewiele sobie robiła. A była taka śliczna, że mnie aż rwało coś, żeby ją chwycić na ręce, tę zwodnicę i unieść daleko, daleko, gdzie nie byłoby sąsiadów z czarnemi oczyma...

Ona tymczasem gwałtownym ruchem oderwała kwiat akacji do stanika przypięty i zaczęła go strzępić różowemi paluszkami. Ukradkiem wyciągnąłem rękę po jeden z kwiatków, ale dostrzegła, niedobra, zebrała wszystkie i rzuciła daleko, spojrzawszy gniewnie w moją stronę.

Oburzenie mną zawładnęło.

— Po co pani szarpie te biedne kwiatki? — zawołałem — czy dlatego, że się bronić nie mogą? Czemu pani tak z pokrzywą nie postąpi?

— Bo jej nie mam pod ręką...

— O! jeśli o to idzie...

Zerwałem się i przyniosłem ogromną gałąź pokrzywy.

— Służę pani — rzekłem szyderczo — zobaczymy, czy pani taka odważna wobec czegoś, co złem za złe odpłacić potrafi...

Zawahała się—ale w tejże chwili chwyciła za pokrzywę i zaczęła jej listki obrywać. Delikatne paluszki mimowolnie cofały się przed bolesnem ukłóciem, a mimo tego różowiały. Jakaś barbarzyńska radość mną zawładnęła: — dobrze, niech boli, niech bardzo boli...

— Aha! boi się pani! — zawołałem — dalej, śmiało! lepiej!

Z jej oczu szafirowych sypnęły się iskry gniewu. Za całą odpowiedź uderzyła się z całej siły gałęzią pokrzywy po ręku. Na białej, jak aksamit gładkiej i miękkiej rączce wystąpiła czerwona pręga...

Krew mi uderzyła do głowy.

— Dobrze! — zawołałem — szkoda, że nie lepiej!

Ona znów się uderzyła po ręku.

— A teraz dobrze? — spytała głosem, w którym łzy drżały.

Było mi bardzo czegoś smutno.

— Dobrze... — odpowiedziałem niepewnym głosem.

Ona dostrzegła wrażenie — i jako prawdziwa kobieta, chwyciła obiema rączkami szkaradną gałąź i zmięła ją z całej siły, kalecząc się niemiłosiernie.

— Dosyć już! — zawołałem — co pani robi, proszę to rzucić!

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że używam najgorszego sposobu... Naturalnie, widząc mój gniew, ona jeszcze mocniej zaczęła trzeć ręce pokrzywą. Biedne moje rączki śliczne! zaczerwienione, pokryte bąblami...

Tego już było nadto. Chwyciłem ją za obie ręce, siłą wyrwałem obmierzłą, z piekła rodem pokrzywę i rzuciłem ją jak mogłem najdalej.

— Puść mnie pan! — wołała ona gniewnie, wyrywając się — puść mnie pan natychmiast!...

— Nie puszczę, póki mi pani słowa nie da, że się tego szkaradnego chwastu nie dotknie.

— Panu nic do tego, proszę mnie puścić!

— Nie puszczę! Patrz pani, co się z pani rączkami zrobiło...

— Co to jest? proszę mnie puścić w tej chwili, bo się rozgniewam!

— Nie myślę pozwalać na dziecińśtwa.

— Pan nie masz do mnie żadnego prawa.

— To się dopiero pokaże. Jeśli nie mam, to je mieć będę!

— Zobaczymy. To nie pana ręce, tylko moje!

— Wcale nie pani, właśnie że moje i będą moje, czy pani chce, czy nie chce, choćby mi na drodze stanął nie jeden, jak wczoraj, ale dwudziestu! Ja im głowy rozbiję, a żadnemu z nich pani nie dam!

W zapędzie gniewu wypowiedziałem nareszcie to, co w sobie tłumiłem od dwóch miesięcy... Zamilkłem przestraszony, gniew mój opadł od razu. Ale i ona, moja pieszczotka, zlękła się. Jej biedne rączęta już nie wyrywały się z moich, ale drżały jak w febrze.

Spojrzeliśmy sobie w oczy...

Za chwilę u nóg jej klęczałem, cisnąc do ust poparzone rączki i cicho, do uszka szepcząc gorące, namiętne słowa miłości...

A ona rumieniła się jak wiśnia i z wyrzutem pytała: czemu tak długo czekałem, że aż musiała rozdmuchać zazdrość w mej duszy...

— Sameś pan winien—szeptała moja śliczna—sameś pan winien wszystkiemu...

Ja przyznawałem się do winy i przepraszałem pokornie, na kolanach, nie raz, ale tysiąc razy.

Nad nami brzęczały złote muszki, burczały chrabąszcze, gdzieś nad rzeką w sitowiu huczał bąk zdaleka i skrzeczały kurki wodne, a cichy wietrzyk chwytał te głosy zmięszane i niósł je aż do ciemnego lasu, w którym odbijały się echem...

Och! jakżeśmy byli szczęśliwi!

J. Morosz.

NOWY ROK.

Rok Nowy! na ludzkości zegarze
Godzina czasu bije!
Z cieni wieków wychodzą dziejów straże.
I wołają: — Kto żyje?...

Kto do piersi dłoń przyłożywszy ciepłą,
Czuje tam serca bicie,
Wiarę, miłość, nadzieję ma nieskrzepłą,
Niech wie, że to jest życie.

Niech odpowie: Jestem!... o Nowy Roku!
Przyjściam twojego dożył...
Nie upadłem, stratowan w świata tłoku,
Los i czas mnie nie spożył.

Ducham nie dał! Nie będę do tej chwili
Wymazan z ksiąg żywota,
Póki iskrą życia, co się tlić sili,
Będzie życia tęsknota.

Póki oczy, ku światłu obrócone,
Będę trzymać otwarte,
Póki będę w sprawiedliwości stronę
Wznosić ręce uparte,

I czcząc czystość, będę się brudem brzydzić,
Będę czuć Boga w niebie,
Zdołam kochać—potrafię nienawidzić,
Pierś rozedrę w potrzebie!

I w postępie ludzkości dotrwam kroku,
Zgnuśniale nie leniwy,
Póty będę wołać: o Nowy Roku!
Jestem oto! ja żywy...

Dnia 31 grudnia 1885 r.

Marja Ilnicka.

O artykuł.

Pan Edward był dziennikarzem z powołania, a ślicznym szatynem o szafirowych oczach z urodzenia.

Panna Emilja miała włosy blond i pełne blasków źrenice. Lubiła literaturę, i co zatem idzie najczęściej: literatów. A chociaż gwałtownie wypierała się tej ostatniej sympatji, ilekroć zwłaszcza została przez nich skrytykowaną—gdyż na nieszczęście i ona była pisarką—to przecież najchętniej przebywała w ich towarzystwie, a nawet powiedziawszy prawdę, rozmowę z nimi przekładała nad wszelką inną. Nie dlatego, by niegodziwcy ci posiadać mieli najgruntowniejsze ukształcenie i najsolidniejsze charaktery, lecz, że bezsprzecznie posiadają najwięcej dowcipu, werwy, fantazji. A także i z tej przyczyny może, iż jednego z nimi fachu, wspólnych upodobań, celów, dążeń miała z nimi mnóstwo.

Najbardziej wszakże ze wszystkich swych braci w Apollinie wyróżniała pana Edwarda. Lubiła go nietylko za jego talent, uczynność, dobre serce, ale jeszcze, i to w wysokim stopniu, za pewien wdzięk zalotny, pełen wykwintu, wybornie licujący z piękną jego twarzą. Ciągle też miewała do niego interesa: a to czy charakter bohaterki przeprowadziła konsekwentnie, a czy myśl zasadnicza powieści wyłoniła się zręcznie, a czy to, a czy tamto? To znowu pomówić pragnęła o jego pracy pochwalić jedną, zganić drugą, przeważnie jednak pochwalić, gdyż jako kobieta, bezstronną być nie potrafiła, a gustując w autorze, szczerze się lubowała w jego utworach.

On także ze swej strony rad szukał jej obecności, a spotkawszy w towarzystwie, teatrze lub na przechadzce, oczu z niej nie odejmował, nie opuszczał na chwilę. Zgoła, dwoje tych wychowanków Muz, nawet wówczas gdy się pogniewali, co im zresztą dość często się zdarzało, gdyż oboje niezmiernie byli żywi, nerwowi i wrażliwi nie mogli oprzeć się wzajemnemu urokowi i szukali się bezprzestannie, a znalazłszy, dysputowali bez końca.

Patrzący na to z boku stary pan Kalasanty, wuj panp. Emilji, uśmiechał się złośliwie, podejrzywając tę przyjaźń o pewne lekkie zabarwienie na różowo. Ponieważ zaś byli bezżenni, p. Kalasanty posuwał się w swych przepowiedniach dalej jeszcze i coś mu nakształt zapalonej pochodni hymenu przed wzrokiem sięgało.

Wiele utworów panny Emilji drukował w swej gazecie p. Edward, uważając je za małe arcydzieła, tak jak ona wszystko, co wyszło z pod jego pióra, pochłaniała z zachwytem.

Błogi ten stan trwał od lat blisko dwóch i byłby może przeszedł—wedle przepowiedni wuja—z lekkiego na różowo zabarwienia w odcień mocniejszy, w płomienny afekt dwóch serc gorących, gdyby nie fatalna okoliczność, która nagle w poprzek ich drogi stanęła.

Okoliczność ta była drobnostką. Drobnostki wszakże częstokroć potężny wpływ wywierają na losy ludzkie. Słusznie ktoś wyrzekł, że gdyby Kleopatra posiadała nosek nieco więcej zadarty, zmieniłaby się postać świata.

Okoliczność była czysto literacka.

Pan Edward poprosił panny Emilji o sprawozdanie krytyczne ze świeżo wyszłego dzieła, panna Emilja odmawiała długo, tłumacząc się to brakiem zmysłu krytycznego, to brakiem wprawy dziennikarskiej, obawą, to wreszcie tem, to owem, zgoła nie chciała. Pan Edward nalegał usilnie, prosił z wdziękiem sobie właściwym, przytem tak pięknie patrzył oczami szafirów, że wrażliwej natury i pełna sentymentu dla proszącego panna opierać się dłużej nie mogła.

Napisała artykuł niemożliwy, zaczepny, odsądzający autora nietylko od najskromniejszych zdolności, ale nawet od zdrowego sensu. Napisała jak myślała, jak czuła, nie licząc się z żadnemi względami. A że w dodatku nie sympatyzowała z autorom książki, zawadziła mimochodem i o jego osobę, ośmieszając go z kretesem.

— Żądałeś pan artykułu, masz, ale jestem pewną, że go nie wydrukujesz—pisała do p. Edwarda, przesyłając mu krytykę.

— Artykuł posiada ustępy tak doskonałe, że mimo nieubłaganej jego surowości drukować będę—odpisał dziennikarz.

— Pochlebca—pomyślała—kłamie!

W kilka dni odbiera korektę swego artykułu, wywróconego na nice.

Krew w niej zakipiała, miłość własna buchnęła płomieniem.

— Ależ to nie mój artykuł! —zawołała, mnąc korektę—w moim była zbytnia surowość, przyznaję, ale była charakterystyka dosadna utworu i autora, była prawda, sumienność, odwaga, a tutaj co? pastelowe barwy, nikłe i wodniste, obawa zrobienia sobie nieprzyjaciela, nieszczerość, wymijanie, fi!

Zapomniała nieboga, że sama na artykule podpisała się pseudonimem.

— Muszę mu powiedzieć to wszystko, dodając, że nie solidaryzuję się bynajmniej z tą letnią wodą.

I stała się rzecz dziwna! Ona, co pierwej żadnej nie przywiązywała wagi do owej pracy, co uznała ją wręcz do druku nieprzydatną, nagle gdy, ujrzała ją tak do niepoznania przenicowaną, oburzyła się, uczuła najdotkliwiej dotkniętą. Bez namysłu też pochwyciwszy kapelusz i okrycie, jednym tchem stanęła w redakcji.

Tutaj przyjęta z serdeczną uprzejmością, złagodniała na chwilę, skoro jednak wspólnie korektę przeglądać zaczęli, nieszczęśliwa próżność autorska znów wyścibiła rogi, i panna Emilja zarumieniona po uszy, z bijącem sercem, głosem zmienionym od wzruszenia jęła krytykować poprawki pana Edwarda. Straciła z pamięci jego słodycz, dobroć, uczynność, których tylokrotne odbierała dowody, piękność jego nawet, tak mile zawsze łechcąca jej zmysł estetyczny, zniknęła nagle z przed jej oczu, została tylko obrażona duma, talent twórczy dotknięty przez zdolność dziennikarską. Pastwiła się też nad jego poprawkami co wlazło, zarzucając tutaj styl zaniedbany, owdzie szablon, ulepkowatość. Była niemiłosierną.

Pod wpływem jej urągań i pan Edward poczuł nareszcie, że w nim stygnie życzliwość; i w nim miłość własna, od której nie jest wolne najmniej nawet zarozumiałe pióro, poczuła się dotkniętą w swym majestacie redaktorskim.

— Nie solidaryzujesz się pani z tym artykułem? to znaczy, że uważasz go za zbyt nieudolny, zbyt słaby, czy tak?

— Nie wiem—odrzekła miarkując się—ale takiego, jaki jest obecnie, ja za swój przyznać nie mogę.

Zbladł pan Edward, mocniej jeszcze pokraśniała panna i zamilkli oboje...

Milczenie panowało długo. Ale chociaż spoczywały języki, nie próżnowała myśl.

On przebiegał pamięcią utwory jej pióra i zauważył, że wartość ich przeceniał o wiele, że niektóre chorowały na anemję, niektóre na brak prawdy psychicznej, brak artyzmu i przeróżne inne braki; w dodatku ona sama w tej chwili wydała mu się jak na pannę niezbyt już młodą, i wycedził przez zęby:

Arogantka!

Ona, przerzucając numery jego gazety, myślała:

— Ileż tu sieczki! Iten człowiek śmie mnie po prawiać... Pyszałek!

I nie patrzyli już na siebie, obecność jednego nie promieniowała na drugie, każde czuło się zranione w swym talencie, zasługach, przyjaźni.

— Choćby istotnie mój artykuł nie był bez zarzutu, to jeszcze nie należało kiereszować go tak bez litości, wyrzucać najsilniejszych ustępów, ścierać całego kolorytu... Doprawdy, ten pan pozwala sobie za wiele, ufny snadź w swoje redaktorstwo, a może i... urodę. Oh! alež ta uroda nie jest znowu tak wielką!... Broda zanadto występuje naprzód, czoło zbyt gwałtownie ucieka w tył... co nawet według Galla nieszczególnie wróży o inteligencji... Hm, hm! Impertyment!

— Chociażbym rzeczywiście mniej miał od niej stylu i zuchwalstwa, to nie powinna tak się zacietrzewiać... Gdzież łagodność i delikatność niewieścia?... Eh, na honor, to istna Ksantypa!

I tak oboje krytykowali się wzajemnie na wyścigi, obniżając swoje wewnętrzne i zewnętrzne zalety.

Milczenie stawało się coraz uciążliwszem. Czuli instynktownie, że przyjaźń ich odbiega, sympatja stygnie, że posunęli się zadaleko.

Czyżby o tyle tylko lubić się mieli, o ile jedno schlebiało drugiemu, skoro zaś przyszło do starcia, do postawienia się na jednym poziomie, każde zapragnęło szczebla wyższego, każde, mając się za osobnik hojniej obdarowany, oburzyło się na drugie za krytykę, za zarozumiałość?

Milczeli.

Czyżbyśmy istotnie kochali naszych bliźnich nie za ich cnoty, lecz za przyjemności od nich doznawane? Ustaje przyjemność i przyjaźń nasza wraz z nią przepada!

Oboje byli zbyt dumni, by pierwszy krok uczynić i wyznać błąd własny.

Nakoniec odsuwając gazety, panna Emilja wstała i na pożegnanie wyciągnęła rękę do pana Edwarda.

On dłoń tę ujął bardzo chłodno, odprowadził pannę grzecznie do drzwi, ale od tej pory nigdy już jakoś czasu nie znalazł na dłuższą z nią rozmowę.

Ona ze swej strony spotykając go później, nie mogła wyjść z podziwienia, jakim sposobem z człowieka tak niewypowiedzianie miłego zrobić się mogło w krótkim czasie indywiduum najnieznośniejsze pod słońcem?

Obserwujący zaś tę nagłą obojga metamorfozę pan Kalasanty zakonkludował po swojemu:

— Bo to panie dobrodzieju na sto djabłów się zdało, żeby baby rywalizowały na jakimbądź polu z mężczyznami. Z tego panie dobrodzieju tylko nienawiść i panie dobrodzieju bezludzie!

Zofja Mellerowa.

Pierwszy parowiec.

Wynalazek pary w kraju naszym obudził powszechne zajęcie. W braku miejscowych wskazówek, uczeni tutejsi posprowadzali sobie dzieła zagraniczne, jak Melet, Tredgold i Stephenson, traktujące w różnych językach o tym przedmiocie. Dziś jeszcze w dawniej urządzanych bibljotekach znaleźć można całe asortymenty książek z owej epoki, już to podręczniki z rycinami, już atlasy, zaznajamiające z lokomotywą. Z czasem pisma nasze zaczęły zajmować się tą materja, jak: *Pamiętnik rolniczo-technologiczny*, *Magazyn powszechny*, *Pamiętnik* Szyrmy, tudzież inne. To też wobec zajęcia się nowym wynalazkiem, zapowiedź w r. 1828-ym, iż na wodach Wisły ukaże się parowy statek, obudziła uwagę ogółu. Obok wiadomości podanych przez pisma spółczesne, mamy przed sobą list Rukszy, nauczyciela prywatnego w Warszawie, opisujący to zdarzenie jednemu z przyjaciół.

Fama o gościu parowym przyszła do Warszawy z prowincji. *Gazeta korespondenta* podała ją listownie z Torunia, potem z Płocka, zkąd zawiadamiano, że statek odbywał tam postój, a mieszkańcy na brzegach przypatrywali mu się, robiąc znak krzyża świętego. Po miastach pół biedy, ale po wsiach okolicznych ludność formalna zdejmowała panika. W Wyszogrodzie jakiś żydek podjechał łodzią do statku, pytając kapitana, jakąby mogła być jego cena, widocznie w zamiarze kupienia na spekulację. Nareszcie *Kurjer* nasz w dniu 11-ym sierpnia 1828-go r. doniósł, że „statek parowy z Anglji" przepłynął pod Warszawą i że widok podobny pierwszy raz ukazuje się w tej stolicy.

Statek miał stanąć około mostu, a właściciel, obywatel zamożny, umyślił dozwolić publiczności przystępu za złożeniem złotówki od osób dorosłych, a 15 groszy od dziecka na rzecz zupy rumfordzkiej. Bilety na ten cel sprzedawane być miały w kasie mostowej. Pismo nasze nadmienia, że szlachetny pomysł właściciela bezwątpienia znaczny dochód przyniesie, każdy bowiem z ochotą zadość uczyni swej ciekawości, pomnąc, iż za ofiarę jego dziesięciu ludzi przez dzień będzie nakarmionych. Nie szło tu jednak o samą filantropję, lecz i o zaspokojenie ciekawości. Warszawianie, pomimo epoki wojennej oraz licznych społecznych dystrakcyj, jak pogrzeb Zajączkowej, ingres prymasa Woronicza (pisze Ruksza) cwałem pobiegli nad Wisłę, aby się przyglądać maszynie. Zawód jednak był nielada... nic nie zobaczono.

Skutkiem nizkiej wody, statek musiał się zatrzymać we wsi Potoku, około drogi prowadzącej do Bielan, wypadało więc aż tam pojechać dla zobaczenia go. Ciekawy Ruksza uczynił to, lecz na pierwszym wstępie doznał rozczarowania; ufny bowiem w znajomość mowy Szekspira, użył jej, prosząc o wyjaśniania maszynisty, anglika, który go najgrzeczniej przeprosił, że języka tego nie rozumie, ale radzi mu porozumiewać się po niemiecku. Majtkowie (pisze oburzony) rodem z Londynu, także mnie pojąć nie mogli. Pokazuje się, że są dwa języki angielskie, z których jednym się mówi na miejscu, a drugim tutaj.

Nareszcie d. 31-go sierpnia, gdy poziom Wisły się podniósł, statek zawinął do mostu. Bilety wejścia sprzedawano w sklepie ubogich i z obu stron rzeki. *Gazeta polska* (nr 228) podała, że parowiec zwany „Victory" przeznaczonym jest na Narew i krótko pod Warszawą stać będzie. Tłumy tedy zbiegły na dół, aby mu się przyjrzeć. Ruksza nadmienia w liście, że tylko „na wiankach" po wertepach nadwiślańskich tylu włóczących się można spotkać, a reporter *Gazety* powołanej wyraża się, że „przybysz angielski jest ciągle przedmiotem ciekawości mieszkańców stolicy, którzy po raz pierwszy mają sposobność widzenia na Wiśle budowę, urządzenie wewnętrzne (*sic*), porządek, a nawet wytworność (co za składnia!) tak nieskończenie różne od przymiotów statków, w kraju naszym używanych." Rzeczywiście, zestawienie było kompromitujące.

W dalszym ciągu reporter nadmienia: „Przyzwyczajeni do widoku często zasmucającego naszych galarów, dubasów, jadwig a nawet berlinek, słusznie dziwimy się daleko posuniętemu porządkowi, czystości i dogodności, jak nie mniej budowie tego statku. W jego jadalnym pokoju może się pomieścić wygodnie przeszło 40 osób, a pomimo, że machina parowa niemało miejsca zajmuje, ma on jeszcze pokoik dla dam, dwa pokoiki dla kapitana, kuchnię angielską, spiżarnię, składy i t. d." Istotnie, wszystko to musiało być imponującem, skoro na bruku urosłe wyrażenie: „pięknie jak na statku", na długi czas w codziennym języku było w użyciu.

Reporter starannie widać o szczegóły się wypytał, skoro nawet strona finansowa obcą mu nie była w tej sprawie. „Victory"—powiada—wystawiony był w Ameryce Północnej, jest już używany i kosztować miał wraz z mniejszym nieco, ale zupełnie nowym statkiem parowym, zwanym „Xawery", już wysłanym do Petersburga, 27 tysięcy dukatów." Ruksza, jako fizyk, opisuje maszynę i dowcip jej układu. Był on przy czyszczeniu onej i kazał sobie wszystkie szczegóły pokazywać. „Długość statku—określa—niewiększą jest od długości naszych berlinek, ale środkowej szerokości pokładu na 15 kroków. Jest on zawielki na Wisłę i nie będzie tu używany." Frekwencja publiczności musiała być znaczną, skoro sklep ubogich sprzedał w pierwszych czterech dniach około 700 biletów, co na ludność ówczesną było bardzo wiele, zwłaszcza iż pogoda w danej chwili (jak dziennik nasz zauważył) była niestała, zaś dostęp do parowca niezbyt wygodny.

Ruksza, rozmawiając z załogą, pytał jej członków o wrażenie, jakie na nich miasto nasze zrobiło. Było ono dość sympatyczne. Kapitan składał wizyty kilku osobom, które go prosiły do siebie, między innemi Feliksowi Jarockiemu, spółczesnemu uczonemu, przyjacielowi Humboldta. Podróżni nadmieniali, że miasto źle oświetlone i błotniste. Podziwiano, że po sklepach tak wiele znajduje się i w dobrym gatunku towaru angielskiego. Kapitan był w teatrze na „Cyruliku" i „Damie białej", tudzież na tragedji, a trupa nasza miły urok na nim sprawiła. Majtkowie uznawali kuchnię miejscową, a trunki angielskie uważali za lepsze niż w kraju, cena zaś ich była dostępną, bo pół butelki porteru kosztowało złoty groszy sześć. Ruksza widział na statku wiele dostojnych osób i mimochodem notuje, że na pokładzie poznał dzielnego młodzieńca, nazwiskiem Augustyn Frąckiewicz, który po świetnie odbytym konkursie, właśnie w tym czasie został profesorem uniwersytetu i pozyskał katedrę analizy. Ks. Gabrjel Bielecki, rektor zgromadzenia pijarów, zdjął rysunki z maszyny i wewnętrznych kompartymentów statku. Ks. Walerjan Czubuszek zwiedzał go z uczniami. Izraelici schodzili się mrowiem nad Wisłę, a nawet intermistyczne kramiki tam zakładali, w których młodzież rzemieślnicza raczyła się trunkiem i owocami. We wrześniu statek odpłynął. W kilkanaście lat później dopiero zawiązała się stała żegluga na Wiśle, pod orędownictwem hr. Andrzeja Zamoyskiego.

Adam Niemirowski.

PIOSENKA.

Sine lasy we mgłach drzemią,
Gaśnie jasny dzień,
Ach! i tobie, moja ziemio,
Idzie noc i cień...

Krótką była twoja zorza,
Najpiękniejsza z zórz,
Co od morza szła do morza
Polem złotych zbóż...

Krótki był twój ranek biały
I różany wschód,
Co twej sławie grał hejnały
U słonecznych wrót.

Nie dobiegło słonko tobie
Do południa wzwyż,
I zagasło gdzieś na grobie
W piorunowy krzyż.

Marja Konopnicka.

Z TEKI PRAWNIKA.

Źle jest, gdy prawodawstwo wyprzedza rozwój społeczeństwa; źle jest również, gdy za niem w tyle pozostaje.

*

W najzacniejszej rodzinie spotkać można niekiedy wyrzutka, który uczciwe imię hańbi piętnem niesławy.

Cóż więc dziwnego, że miłość — matka tylu podniosłych dążności i czynów szlachetnych, bywa też czasem rodzicielką wyrafinowanych zbrodni?...

*

Zarówno poczucie słuszności, jako też dbałość o dobro społeczeństwa ubolewać każą nad wypadkami, w których nadmierne surowość sądu winnych w męczenników zamienia...

*

Za kulisami występnych czynów znaleźć można często tyle rozpacznej niedoli, że w jej pomroce potworność zbrodni zaciera się i blednie...

*

Naczelnem hasłem rozwoju ludzkości w dziedzinie ustawodawstwa powinna być dążność do przeobrażenia wszelkich wyłącznych przywilejów w prawa ogólne, z którychby wszyscy korzystać mogli.

*

Sędzia jest stróżem prawa, obrońca—stróżem słuszności.

Zasady prawa i moralności społecznej z wspólnego wytrysnęły źródła. Wszelkie rozterki, wynikające pomiędzy niemi z biegiem czasu, są objawem chorobliwym i dowodzą, że albo wyobrażenia moralne uległy spaczeniu, albo też przepisy ustawy na błędne wkroczyły tory.

*

Gdyby więcej cnót kwitło w pałacach, mniej byłoby zbrodni za więzienną kratą...

*

Na niwie, zroszonej łzami smutku, najłatwiej się przyjmują ziarna litości i pobłażania.

*

Wygrany proces jest srebrem, brak procesu—złotem.

Parafraza ta, oczywiście, nie stosuje się do adwokatów.

*

Pierwsza miłość jest sama przez się przestępstwem, albowiem § 129 ustawy o karach najwyraźniej zakazuje „wszelkich czynów jawnie nieostrożnych".

*

W okresach przejściowych wszelkie podatki zazwyczaj wzrastają.

I teraz snadź w takim żyjemy okresie, skoro z przerażającą gwałtownością powiększa się wciąż posępny podatek zbrodni.

*

Prawdziwe poszanowanie prawa polega nietylko na tem, ażeby nie łamać zakazów ustawy, lecz ażeby nadto na każdym kroku swych słusznych praw wytrwale bronić...

F. Nowodworski.

STULETNI JUBILEUSZ.

Nauki polityczne były zawsze troskliwie w Polsce uprawiane.

Każdy nowy ruch, każdy prąd myśli na zachodzie znajdował u nas szerokie echo, a nieraz nawet pod jego ożywczem tchnieniem wyrastały całkiem oryginalne, samoistne potęgi genjuszu, co z kolei zachodowi przyświecały na drodze postępu.

Narodziny jednak samodzielnej inteligencji, co nietylko streszczała w sobie i przetrawiała zdobycze ubiegłych pokoleń, lecz zarazem wytykała nauce dalsze szlaki, zazwyczaj poprzedzał okres mozolnej pracy naśladowczej.

Takie też koleje przechodziła u nas i nauka ekonomiki.

Właśnie w ostatnich dniach r. z. sto lat minęło od czasu, jak po raz pierwszy ukazała się w języku polskim książka, wyłącznie poświęcona ekonomji politycznej. Nosi ona tytuł: „Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodów", podana do druku w d. 23-im listopada r. 1785-go, w końcu grudnia tegoż roku wyszła na widok publiczny z tłoczni wileńskiej.

Autorem tego pierwszego na większą skalę dzieła ekonomicznego w piśmiennictwie polskiem był ks. Hieronim Strojnowski, dr teologji i obojga prawa, kanonik katedralny kijowski, „towarzysz florenckiej akademji nauk", „profesor publiczny prawa natury i politycznego" najpierw w kolegjum szlacheckiem w Warszawie, następnie zaś w Szkole głównej W. Ks. Lit. w Wilnie.

O samym autorze niewiele przechowało się szczegółow. Urodził się w r. 1752-im i w młodości poświęcił się stanowi duchownemu w zakonie pijarów, publiczną działalność zaś również w młodych jeszcze latach rozpoczął od zawodu nauczycielskiego. Początkowo spotykamy go w szkołach w Złoczewie i Międzyrzeczu, potem w Warszawie, a od r. 1781-go w Wilnie i następnie w Krakowie, jako prefekta seminarjum akademickiego. Po przejściu do duchowieństwa świeckiego Strojnowski zostaje kanonikiem kijowskim oraz plebanem w Korcu, w r. 1793-im bierze czynny udział w komisji edukacyjnej, a po wypadkach r. 1795-go przenosi się znowu do Wilna, gdzie najpierw obejmuje katedrę prawa, potem zostaje mianowany rektorem uniwersytetu wileńskiego, współcześnie dochodzi godności biskupa łuckiego, po złożeniu zaś rektorstwa otrzymuje biskupstwo wileńskie. Protoplasta ekonomiki polskiej zmarł w r. 1816-ym.

„Nauka praw" Strojnowskiego jest niejako odgłosem tych opinij naukowych, polityczno-ekonomicznych, jakie w drugiej połowie zeszłego wieku kursowały na zachodzie, dzięki nowym na tem polu pracom takich—Rousseau'a, Montesquieu'go, Adama Smitha, Quesnay'a, Turgot'a i in., choć do tej mety bezwarunkowo nie dobiega. Nie goniąc za oryginalnością, nie siląc się na wykazanie erudycji, profesor wileński postawił sobie za zadanie spopularyzować w kraju nową wiedzę, przygotować umysły do nauki, co zaledwie z kolebki wychylała głowę.

Zgodnie z powszechnie przyjętym wówczas systemem, rozprawę swoją, będącą zarazem kursem akademickim, Strojnowski dzieli na 4 części.

W pierwszej—o prawie przyrodzonem—rozwodzi się obszernie o własności gruntowej, osobistej, ruchomej, o zamianie i t. d. Mówiąc o własności gruntowej, S. występuje w jej obronie, dając krótką odprawę „płonnym zarzutom" i „opacznym zdaniom", jakie przeciwko niej za jego właśnie czasów odzywać się zaczęły. To jednak nie przeszkadza mu bynajmniej głosić w dalszych rozdziałach o przyrodzonej między ludźmi równości, która wynika „nietylko z fizycznego rzeczy porządku i różnych okoliczności", ale „nawet z moralnych należytości, wszystkim ludziom właściwych".

Część druga o prawie politycznem, wspomina też między innemi i o podatkach, skarbie i finansach państwa.

W części trzeciej o ekonomji politycznej Str. zastanawia się szczegółowo nad rolnictwem, któremu przyznaje bezwarunkowe pierwszeństwo w gospodarstwie społecznem, o przemyśle, handlu wewnętrznym, cyrkulacji pieniężnej i t. d. Jego podział narodu na trzy klasy: rolniczą, „właścicielską" i przemysłową wielce przypomina znaną klasyfikację Turgot'a (clusses productiwe, disponible i stipendiée, 1766 r.) Klasa rolnicza, inaczej „płodną" zwana, „podejmuje i utrzymuje swoim własnym kosztem wszystkie nakłady coroczne i pierwiastkowe całego gospodarstwa. „Klasa właścicielska" „czyni i utrzymuje nakłady gruntowe", lecz zapłatę od ziemi odbiera za pośrednictwem rolników. Klasę przemysłową, jako „zajętą tylko swoim zyskiem i zarobkiem do życia" St. nazywa „niepłodną"...

Wreszcie, w części czwartej o prawie narodów znajdujemy obszerny traktat, napisany w obronie wolności handlu zewnętrznego.

Taką jest treść dzieła.

Losy chciały, że pierwszy ekonomista polski był księdzem. To też, jakkolwiek w jego „naukach" został wyraźny ślad aspiracji „wieku oświeconego", nie mogły się one przecież należycie rozwinąć. W Strojnowskim nauka pozostawała na wodzy teologji, i pod tym względem autor nasz stoi nieporównanie niżej od Staszyca lub Kołłątaja.

Zupełny brak cytat, unikanie polemiki, choć ta nieraz nasuwała się pod pióro, wreszcie trzymanie całej rozprawy w tonie *ex cathedra*, utrudnia nam dokładne wskazanie źródeł, z jakich St. głównie wiedzę swoją czerpał. Nie ulega jednak wątpliwości, że był on wszechstronnie oczytany, znał pisma współczesnych i dawniejszych pisarzy politycznych, a ożywiona walka naukowa we Francji nie była mu obcą. We wstępie sam o sobie powiada, że „cokolwiek swoim uczniom i słuchaczom przekładać się odważa, to wszystko sam; *z największą, jaka być może, pilnością* i uwagą roztrząsnął, i do *ostatniego stopnia pewności i oczywistości* poznać usiłował."

Z pewnością nie spodziewał się, iż w sto lat po nim, z tych „pewności" i „oczywistości" zaledwie kilka pozostanie strzępów!

Współcześni jednak dość wysoko cenili „Naukę" Strojnowskiego, gdyż zażywała ona szerokiej popularności, a w r. 1805-ym doczekała się nawet powtórnej edycji. Dziś, poszedł on całkiem w niepamięć, tak dalece, że nawet zapomniano o stuletnim jubileuszu pierwszej polskiej książki ekonomicznej, której był ojcem.

A przecież należy mu się wdzięczność choćby za rozpoczęcie wątka nowej w naszej literaturze nauki.

Franciszek Olszewski.

PODRÓŻNI.

Gdzie przeskoczyć nie można,
tam podleźć potrzeba.

Przysłowie.

Usiadł kamień na drodze.
Szli trzech legij trzej wodze
I dumali zamrocznie:
Co też który z tem pocznie?

Jeden, rotmistrz omamień,
Daje susa przez kamień;
Ale potłukł golenie
I łeb skrwawił szalenie.

Drugi, kawał matacza,
Pr pod kamień się wtłacza,
Tunelem się w głąb wetnie
I obwalał się szpetnie.

Trzeci, widząc to, powie:
„Licha warte przysłowie!"
Stoczył kamień do rowu,
I szlak gładki był znowu.

A patrząjąc dwaj drudzy,
Wyśmiewali trud cudzy:
„Toż się spocił dla braci!
Bies mu chyba odpłaci!"

W. Korotyński.

Męczennicy.

Dzień „Młodzianków" przypomina miljony męczenników, spowiniętych w pieluszki, karmionych przez niańki, dręczonych przez bony, zabijanych przez matki. Zakładają się szkoły i akademje rolnicze, wprowadzają ulepszenia w obronie inwentarza, wynalazki wszelkie udoskonalają przeróżne wygody i wygódki życia, a jeno o „Młodziankach" nikt nie pamięta i z dniem każdym mnoży się zastęp męczenników.

Oto dziecina ściśnięta pieluszką, spętana powijakiem, zduszona pierzynkami, broni się jak może przeciw zamachom, krzyczy, kopie nóżkami, wyrywa rączęta, ale napróżno walczysz biedniątko, nadaremno pragniesz swobody ruchu, prawidłowego krążenia krwi, nietamowanego oddechu; gdybyś mówić mogło, zawołałobyś: „niańki z drogi, powijaki z drogi!", a jednak musisz być męczennikiem, bo tak się działo od wieków.

—Papuńciaj Stasiu, papuńciaj! dobre papu; no, prędko, bo dam kotkowi. A! chciałbyś kotku? o! to nie dla ciebie, to dla Stasia: papuńciajże, papuńciaj.

Troskliwa niania wciska do buzi łyżeczkę z kaszką, a Staś się broni, odpycha, krzyczy.

— O! Boże! Boże! co też to z tem dzieckiem? Nic jeść nie chce, zmizernieje—narzeka matka.

A ty biedny Stasiu zjadłeś od rana kawałek pierniczka, dwa cukierki, szklankę mleczka, kawałek bułeczki, trzy biszkopty i ćwierć jabłuszka. Jeść ci się nie chce, a jeść ci każą, zmuszają do kaszki z wielkiej troskliwości. O! biedny ty męczenniku, gdy dorośniesz, będzież jeździł do Karlsbadu leczyć się na nieżyt żołądka.

Mademoiselle Charlotta mówi z Jańciem po francusku, *Herr Pimpernikel* poniemiecku, mama i papa także po francusku, poczciwa Kasia po polsku. Jańcio słyszy: *table, Tisch, stół*, słyszy przeróżne wyrażenia o jednej i tej samej rzeczy. Pamięć jego natęża się, szybko rozwija kosztem innych władz umysłowych, o których rozwój nikt się nie troszczy. Jańcio przyzwyczaja się machinalnie przyjmować wrażenia, ogarniać je pamięcią, przez alembik budzącej się myśli uczucia nie przechodzą, o duszyczkę się nie ocierają, i chłopczyna wyrasta na lalkę, jak owa z „Opowieści Hoffmana". Będzie paplał różnemi językami, ale w żadnym nie będzie myślał i nie będzie myślał wcale. W nauce szkolnej będzie się mozolił bez użytku, bo wiele zapamięta, niczego, lub mało co zrozumie. Nabędzie wiadomości, nie zyska ukształcenia.

O biedny męczenniku! Ale biedniejsze społeczeństwo, które dostarcza sobie takich lalek!

— Tatki nie ma, poczekamy z obiadem — mówi mama i czekają dzieci, ale, że niecierpliwe a głodne, mama je uspakaja piernikiem, cukierkiem.

Tatko wreszcie przyszedł, je obiad z apetytem, ale dzieci już nie jedzą rosołu, albo do jedzenia się zmuszają. Biedne męczenniki! Gdy nadeszła godzina obiadu, należało dać go dzieciom, a mama niechby sobie sama na tatkę czekała. Punktualność w żywieniu dzieci przedewszystkiem. Punktualność taka podwójną sprawia korzyść: wpływa na zdrowie i na charakter. Dziecko przyzwyczaja się do porządku, do systematycznego podziału czasu, co najważniejszą jest pomocą w pracy, a regulatorem życia. Niechże mamy pamiętają, że czekaniem na ojca nie wpaja się uszanowania dla niego, a męczy dzieci.

Ileby to jeszcze męczeństw przytoczyć się dało! Biedne męczenniki! Są stowarzyszenia ochrony zwierząt, nie ma stowarzyszeń ochrony dzieci. Mamy czytują dzienniki mód, umieją na pamięć „Obiady pani Cwierczakiewiczowej", umieją wiele rzeczy, ale pedagogja, hygiena—to dla takich nudnych bakałarzy, jak podpisany.

Kraków.

Czesław Pieniążek.

Z LASU.

SPOSTRZEŻENIA MIŁOŚNIKA PRZYRODY.

Czy to, żem się na Polesiu urodził, czy z jakiej innej, nieznanej mi samemu przyczyny, lubię lasy namiętnie! Błąkać się w nich dni całe, a nieraz i noc nawet u ogniska w głębi ich spędzić, od lat najmłodszych było jedną z największych mych rozkoszy. Szmer uroczysty starych sosen i jodeł, szmer drzew liściowych wprawiają mnie w dziwną zadumę. Wsłuchuję się w nie z natężoną uwagą i często mi się zdaje, że w nich słyszę wyraźnie: to skargi, groźby i

przekleństwa, to modlitwy i dziękczynienia, to jęk boleści lub rozpaczy, to okrzyki radości lub tryumfu, słowo w słowo jak w ludzkich rzeszach. A w takiem zasłuchaniu, nieraz tak się rozmarzę, iż drzewa przestają być dla mnie drzewami, zmieniając się z tworów bezdusznych w istoty żywe, czuć, myśleć i działać zdolne, i nastręczają mi zjawiska takie dziwne, takiej dramatyczności pełne, że na ich widok staję nieraz jak wryty i wzruszony do głębi duszy, długo im się przyglądam.

Tak naprzykład znałem gaj pewien, który nawiedzając przez czas przydłuższy, patrzyłem w nim na straszną walkę bratobójczą i smutny oglądałem jej koniec. Rozjątrzyły się tam czarnoklony przeciwko klonom, że te ostatnie wyżej od nich rosły, że konarami słońce im zasłaniały, a korzeniami soki z pod nich ciągnęły. Do czarnoklonów przyłączyły się niektóre młode kloniki, jedne pobudzone szczerą litością dla tych, których miały za pokrzywdzonych, drugie zawiścią do tych, od których się widziały niższemi, i dalejże góry walić na stare klony, dalej podburzać tłumy czarnoklonowe, podżegając ich namiętności, przyznając słuszność roszczeniom i coraz nowe wynajdując winy i zbrodnie w wyniosłych, rozłożystych swoich pradziadach. I zawołali wreszcie: precz klony! precz przywłaszczyciele, wdziercy, ciemięzcy prawowitych panów całego gruntu! I znaleźli niby dowody, że w dalekiej przeszłości same tylko czarnoklony tam rosły, że klony jakaś burza między niemi zasiała, a nawet, że wiele ich powstało z samychże czarnoklonów, które szczęśliwym trafem znalazły się na lepszej glebie i na szerszej przestrzeni, bujniejszym pniem strzeliły i większym okryły się liściem, a dzisiaj, lubo strupieszałe do rdzeni i mniej liczne od czarnoklonów, przecież hardo podnoszą głowę, dumnie rozpierają się w gaju i swoje narzucają mu imię —zbrodniarze!

Tak więc wrzało w lesie jak w piekle. Ilekroć drwale weszli do lasu z toporami, każde ich cięcie, wymierzone w klon stary, dziką rozkoszą przejmowało obłąkane młode kloniki i zawistną rzeszę czarnoklonową: szelest jej liści rozlegał się, jak radosne w dłonie klaskanie, lub jak okrzyk tryumfu, a nie było większego szczęścia i większej chluby dla tej zgrai bezmyślnej, jak gdy rękojeść siekiery-niszczycielki z czarnoklonu była zrobiona. Burza, łamiąca tę leśną arystokrację, piorun ją druzgocący, z równem uradowaniem przez gmin żądny zagłady jej były witane; klony zaś, na ziemię się waląc z łoskotem, z szaloną też jakąś pociechą gniotły swem brzemieniem ten motłoch, ruinie ich urągający.

Mijały lata. Mimo burze i gromy i niszczące topory, co wszystko ledwie nie wyłącznie najpotężniejsze tylko klony dotykało, było ich jeszcze dosyć, młode bowiem kloniki, w miarę jak wyżej odbiegały od ziemi, jak szerzej roztaczały swoje konary, jak w pniu swoim zmężniałym więcej sił uczuwały, nieznacznie zmieniały swe usposobienie i od czarnoklonów przechodziły na stronę klonów. Waśń więc nie ustawała i coraz smutniej, coraz to okropniej było w tym gaju. Chucie nikczemne, jak robactwo plugawe, wciąż toczyły wnętrzności rzeszy leśnej; zawiść, jak żar słoneczny, liście na niej suszyła; Bóg się od niej odwrócił, szatan swe panowanie nad nią rozciągnął. Na starych klonach zjawiła się jemioła, poczepiała się wszystkich konarów i soki z nich żywotne wyssała. W ślad za nią przyszły grzyby żarłoczne i na pniach się w około rozsiadłszy, do ostatka wycieńczyły drzewa nieszczęsne, a pastuszki sok z nich wiosną puszczając, pomagały tym jeszcze pasożytom. Mocowały się jeszcze czas jakiś, aż wreszcie z apatją ponurą poddały się złej doli swojej. Pewnej wiosny wiele z nich już ani jednego listka nie wydało, inne zaledwie w kilku zazieleniły się gałęziach i stały jakby jakie widma okropne, smutne, czarne, mchem, pleśnią a grzybami w koło okryte.

Czarnoklony tryumfowały, ale krótką była ich radość: w trupach tych nieboszczyków wylęgła się moc niezliczona jakichś liszek żarłocznych, które przez lato wszystkie liście na czarnoklonach objadły i gniazda swe na zimę w korze ich założyły. Na wiosnę z gniazd tych wyszły jeszcze straszliwsze chmary niszczącego owadu, i rychło gaj ten, niegdyś taki uroczy, caluteńki się zmienił w czarny zastęp drzewnych szkieletów. Waśń bratobójcza taki los na niego przywiodła.

Na zimę ludzie wszystkie zeschłe drzewa wycięli, by oczyścić ziemię pod nowy zapust. Znowu nastała wiosna i... cóż powiecie? na gruncie, o który czarnoklony wojowały z klonami, puściła się licha osika!

Adam Pług.

STROFY.

I.

KIEDYŻ?

Uderza fala w skałę z granitu,
Grom w odmęt pada po gromie...
Po chwili cisza... i zrąb błękitu
Na chmury staje wyłomie...

Dla wszystkich stworzeń brzask się wynurza,
Słonecznej doli skry nieci...
Ach! kiedyż zejdzie z pól naszych burza,
Kiedyż nam słonko zaświeci?

II.

SKRZYDEŁ!

Chwastem porosła poezji gleba,
Brak duchom wyższej podniety...
Wielkiego wieszcza światu potrzeba,
Dantejskiej siły poety!

Onby umysłom dał skrzydła nowe,
Tchnąłby w nie iskrę zapału,
On jeden mógłby duchy lodowe
Roztopić w czci ideału!

Wyspa Usedom, w lipcu 1885 r.

Alexander Kraushar.

Tanie życie.

Tanie życie nie da się osięgnąć za pomocą monopolu lub przywilejów prawodawczych. Dla ogółu otrzymuje się ono za pomocą pracy wsi i miasta, zrównanych w obec podatków i innych ciężarów państwowych.

Jeśli chcemy zatem taniego życia dla *ludności miejskiej i przemysłowej*, nie wolno nam pod groza popełniania najwyższej niesprawiedliwości odmawiać go *ludności wiejskiej*.

Nic dzisiaj usprawiedliwić nie zdoła nierówności monopolów i przywilejów, których ofiarą pada rolnictwo.

Zatem zerwać należy energicznie z przekonaniami, które pozwalają mniejszości mniemać, że istnieje protekcja dla pewnych tylko przedsiębiorstw.

Rolnictwo walcząc za swoje prawa o byt, to większość obalająca niesprawiedliwość i zapewniająca tryumf racjonalnym zasadom ekonomji politycznej.

Istnieje zasada wiecznej równowagi, to zasada równości. Każdy przyjąć ją może bez zaparcia się swych przekonań: wolnohandlujący, gdyż nie odmawiają uznania dla dewizy równouprawnienie, protekcjoniści — ponieważ nie wiedzą czem będzie świat przyszłości, a biorąc go takim, jakim jest, w konsekwencji pragnąć powinni *równości cłowej*.

Kwestja zatem przeciwko przywilejom, jasno jest postawioną. By żyć pracując, ludność miast nie potępia protekcji przeciwko konkurencji. Sprawiedliwość zatem nakazuje, by rolnictwo, którego koszta produkcji wyższe są teraz niż cena sprzedażna, było również protegowanem przeciwko konkurencji. Dla niego, tak jak i dla innych przemysłów nie ma środka bardziej słusznego, bardziej skutecznego, by stworzyć tak w mieście jak na wsi dobrobyt, który kupuje, konsumuje, który podnosi wreszcie wszystkie źródła pomyślności ogólnej. Zatem nie ma taniego życia za pomocą przywilejów dla pewnych klas, nie ma kast w świecie pracowników. Lecz tanie życie zdobyte pod panowaniem równości dla wszystkich, równości wobec podatku, cła i powinności państwowych, oto program, jaki stawia rolnictwo naprzeciw fałszywemu liberalizmowi ekonomicznemu, oto postęp, który nie będąc negacją zdobyczy wiedzy i doświadczenia, otwiera pole działalności tym wszystkim, których dobro kraju obchodzi.

Wierzmy, że siły państwowej nie wytwarzają przywileje. Wierzmy, że nierówność pomiędzy rolnictwem a innemi przemysłami jest główną przeszkodą w rozwoju pracy narodu, a w konsekwencji, pomyślności uogólnionej a nie uprzywilejowanej. Wierzymy nakoniec, że doktryna równości jest doktryną solidarności i zgody pomiędzy wszystkiemi interesami zarówno producentów jak konsumentów.

Nierówność i antagonizm pomiędzy naszemi przemysłami, to część ludności przyzwyczajająca się żyć kosztem drugiej, to ekonomja polityczna, idąca w służbę uprzywilejowanej kasty, to prawodawstwo wracające do starej dewizy: *à justice, rien ne prévaut.* Ci błądzą i w błąd wprowadzają naszą ludność, którzy gwałcą położenie ekonomiczne i nie chcą zrozumieć, że wielkim karmicielem państwa musi być rolnictwo żywiące swój świat, aby dać życie innym.

C. Reklewski.

Z MOICH WSPOMNIEŃ.

Mieszkałem wówczas w Paryżu. Bliska, serdeczna przyjaźń, pomimo znacznej różnicy wieku, łączyła mnie z Franciszkiem Huet, mentorem Milana Obrenowicza, dzisiejszego króla serbskiego.

W owej chwili Milan był chłopcem trzynastoletnim, umysłowo dość rozwiniętym. Ojciec jego nie żył już wtedy, a matka, o ile pamiętam, bawiła w Wiedniu, niewiele o syna się troszcząc. Huetowie byli bezdzietni; domniemany już wtedy następca tronu serbskiego — bo książę Michał dzieci nie miał — oprócz kierownictwa naukowego znalazł u nich iście rodzicielskie serce i opiekę.

Znając dobrze Hueta, z podziwu wyjść nie mogłem nad szczególnym trafem, który na mentora przyszłemu władcy ludu serbskiego dał filozofa katolickiego, współpracownika Bordas-Demoulin w słynnem dziele, uwieńczonem przez Instytut francuski: „*Le cartésianisme, ou la véritable rénovation des sciences*”, oraz w dwóch innych: „*Essais sur la réforme catholique*” i „*Le régne social du christianisme*”, a przytem surowego demokratę i gorącego republikanina, przyjaciela Emanuela Arago, Henryka Martin, Eugenjusza Pelletan, Ludwika Mierosławskiego. Zaprawdę, jak dla domniemanego następcy tronu, niezwykłego wybrano mentora. A nie był to człowiek, któryby w najdrobniejszej rzeczy od zasad swoich odstępował; przejęty niemi do głębi duszy, apostołował je z zapałem. Dawny profesor uniwersytetu gandawskiego, nie mając innych uczniów ani własnych dzieci, pracował nad pupilem swoim gorliwie.

Z Emanuelem Arago, z Eugenjuszem Pelletan często zastanawialiśmy się, jakim też będzie ten pupil Hueta, gdy na tronie książęcym zasiądzie?

Było to w roku 1867-ym, w owej chwili najwyższej świetności panowania Napoleona III-go, gdy na wystawę powszechną przybyli w gościnę do Paryża wszyscy niemal monarchowie europejscy. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że dostojni goście po śniadaniu u cesarza Napoleona, wyjdą z pałacu drzwiami honorowemi i środkową aleją ogrodu Tuillerie przejadą na plac Zgody, a ztamtąd na wystawę. Milan pragnął się przyjrzeć temu pochodowi. Franciszek Huet z zasady tego rodzaju uroczystościom się nie przyglądał. Pani Huet chorą była na chroniczną migrenę. Jedyna nadzieja, jaka pozostała Milanowi, było uprosić swego przyjaciela polaka, aby mu towarzyszył. Zgodziłem się i zabrałem go z sobą.

Staliśmy w pierwszym rzędzie tłumów, które na przejazd monarchów w ogrodzie oczekiwały. Chwila upragniona nadeszła. W miarę, jak się powozy do nas zbliżały, zdaleka już tłumy głosiły nazwisko nadjeżdżającego monarchy. Parę powozów przejechało, z kolei słyszymy wymówione w około nas imię sułtana.

W tej chwili uczułem wyrywającego mi się Milana, którego, aby nie być przez tłum rozdzielonym, za rękę trzymałem. Pomimo zwartej masy ludu, przedarł się przez nią. Straciłem go chwilowo z oczu; że jednak wszyscy cisnęli się do środka ogrodu, a pozostała jego część była prawie pustą, znalazłem zbiega mojego wśród drzew, tyłem obróconego do alei głównej i mocno zasępionego. Zaniepokojony pytam czy nie zasłabł?

— Nie — odpowiedział — ale z pośród tłumu na sułtana patrzeć nie chcę!

To uczucie dumy, a zarazem nienawiści, dobrze mnie dla młodego księcia usposobiło.

Zapytałem raz Milana, czy, gdy książęcą koronę odziedziczy, zabierze z sobą do Białogrodu Huetów?

Odpowiedział mi, że byłby najszczęśliwszym, gdyby mu oni wtedy towarzyszyli do ojczyzny.

— Ale—dodał—oni nie zechcą... Mama Huet ma wstręt do etykiety dworskiej, a pan Huet... to gorzej jeszcze... on nawet zbliżyćby się niechciał do tronu... A jednak ja ich tylko jednych kocham i nie wiem, jak sam dałbym sobie radę z ludźmi.

W rok po tej rozmowie, książę Michał Obrenowicz został zabity, a Milana na tron serbski powołano.

Huetowie pozostali w Paryżu.

Z. R. (Just).

* * *

Serce człowiecze idzie drogą krwawą:
Konamy ciągle i zmartwychpowstajem...

Młody chce życie mieć rozkosznym gajem,
Starzec dogodną wypoczynku ławą;
Dla jednych świat ten jest paszczą ryczącą,
Dla innych czarną boleści jaskinią;
Tamtym szatani spokój ducha mącą,
Tym znów anioły życie strasznem czynią.

Nicość przez świat ten przejdzie wśród podskoków
Płaz znajdzie zawsze do szczęścia bagnisko.
Gdy ziemia tętni od szatańskich kroków,
Głupcy wciąż wrzeszczą, że już niebo blisko.

Małość znikczemnia, lecz smutek — zabija.
Nie ten człowiekiem, kto najgłośnjej płacze,
Kogo zwątpienia wykarmiła żmija,
Lub kto najsilniej do nieba kołacze;

Lecz ten kto świat ma za pracownię ducha,
I w święty łoskot jej młotów się wsłucha,
I sam zapomni o szczęściu dla siebie,
I swe tęsknoty w trudach swych pogrzebie.

Stanisław Krzemiński.

Wygrana sprawa.

U drzwi wielkiej izby posiedzeń sądu stał odźwierny, świeżo przyjęty do służby, w miejsce tylko co oddalonego „portjera" i zapytawszy każdego wchodzącego o jego godność i nazwisko, głośno oznajmiał je obecnym.

Otworzyły się podwoje i wszedł poważny, sinowłosy, pięknej postawy mężczyzna

Odźwierny obwołał kim on jest, ale z powodu panującej w izbie wrzawy do uszu wszystkich doszło tylko jedno wymowne słowo:

— Mistrz!...

Najbliżsi wejścia rozstąpili się z uszanowaniem i pochylili głowy przed wchodzącym, który uroczystym krokiem postąpił ku znajdującemu się pod przeciwną stroną ściany wzniesieniu.

We drzwiach tymczasem ukazał się mąż drugi, usiłujący także dodawać sobie powagi, chociaż w śniadej twarzy jego, w czarnych bujnych, niedoprowadzonych do ładu włosach, w ruchach żywych i energicznych, nie było jej tak wiele.

Ze słów oznajmiających odźwiernego usłyszano tylko:

— Nasz „maëstro"...

Muzyk zatem, wyraźnie muzyk, i to niezawodnie niepospolity. Wszyscy znać go musieli ze sławy, gdyż nikt się nie dopytywał kto on zacz, a wielu przyjaźnie go witając, torowało mu drogę za mistrzem.

W chwilę potem odźwierny znowu wołał:

— Magister...

Farmacji, filozofji czy prawa, dla obecnych było to wszystko jedno. Mieli oni szacunek dla uczonych i chętnie usuwali się z drogi człowiekowi skromnemu, ktory szedł prosto i spokojnie, nie zadzierając głowy, nie chełpiąc się swą wiedzą, chociaż podobno w zawodzie swoim złożył jej niepospolite dowody.

Tuż za nim wszedł człowiek silnej budowy i napracowanych rąk. Wąsa nie miał zakręconego modnie lecz przystrzyżony krótko, czuprynę również krótko obciętą, policzki rumiane, spojrzenie pogodne.

— Pan majster—powiedział odźwierny.

Nikt nie pytał jakiego kunsztu, sama nazwa majstra wystarczyła do utorowania przybyłemu drogi wśród tłumu. Usuwano mu się, nietyle podobno z szacunku lub grzeczności, ile z obawy, żeby dla otworzenia sobie przejścia nie potrzebował oddalać od siebie twardych swych łokci, jak się to dawnemi czasy, przed wynalezieniem ćwieczków, przy wyciąganiu dratwy czyniło.

Poszedł tedy pan majster za innymi a u drzwi ukazała się nowa postać.

Tym razem był to człowiek suchy jak wiór, cienki jak tyczka, lekki jak piórko, nie chodzący jak inni ludzie lecz jakoś skacząco, niby wróbel, ubrany we frak ostatniej mody, z kapelusikiem składanym pod jedną ręką, i damułką dość jeszcze młodą, a wcale nieszpetną pod drugą.

— Kto pan jesteś?—spytał odźwierny.

— Metr—odpowiedział przybyły.

— Domyślam się, że tańca... A ta pani?...

— To jest moja... to jest moja... — zająkał się przybyły, rumieniąc się trochę i ustawiając nogi w coraz innej pozycji.

Pochylił się wreszcie ku odźwiernemu i szepnął:

— To jest niby moja... metresa!

Odźwierny nachmurzył się.

— Kiedy pani mistrzyni i pani majstrowa zostały w domu — rzekł — to tembardziej i ta panna mogła była pozostać...

— Przepraszam... panna także należy do sprawy i otrzymała osobne wezwanie — odparł metr tańca, balansując przed odźwiernym jak w kadrylu.

— Jeżeli tak, to proszę wejść.

Nikt nie potrzebował usuwać się z drogi metrowi tańca. Wsunął się on gładko i szybko między obecnych, niby igła w tkaninę, a niby nitka za igłą przemknęła równie zwinnie za nim damulka.

W chwilę potem nierozłączna para znalazła się przed wzniesieniem, na którem zasiadał sąd.

Mistrz spojrzał po obecnych, jakby ich liczył i zabrał głos:

— Prześwietny sądzie! — rzekł — jest nas tu sześcioro. Ja, którego nazywają mistrzem, nasz sławny maëstro, uczony magister, dzielny pan majster, zwinny metr sztuki niezbędnej w nadchodzącym najdłuższym na całe stulecie karnawale i jego — uczciwszy uszy—metresa. Wszyscy jak tu jesteśmy otrzymaliśmy rozkaz wydalenia się z obszarów języka polskiego, jako cudzoziemcy. Rozkaz taki otrzymało i wielu innych, również cudzoziemców, którzy za sobą ujmować się będą, każdy z osobna, my zaś bronimy się wspólnie, bo jesteśmy wspólnego pochodzenia, jakkolwiek różnemi stronami przez starożytną Romę i nowożytne Włochy, przez Niemcy i Francję do tego kraju przybyliśmy. Rozkaz wydalenia z języka tak nas jak wielu innych cudzoziemców uważamy za niesłuszny i przeciw niemu zanosimy skargę, którą, jeśli prześwietny sąd pozwoli, postaram się uzasadnić.

Najstarszy sędzia naradził się przez chwilę z towarzyszami, poczem rzekł uroczyście:

— Pozwalamy!...

— Przedewszystkiem— mówił mistrz dalej — nie przeczymy wam prawa wydalania nas. Jesteście u siebie gospodarze i krajowcy mogą wam poniekąd wystarczyć, a przytem teraz jest taka moda, że się „obcokrajowców" wydala, więc jeżeli każecie, musimy zebrać manatki i wynosić się każde tam, zkąd przyszło. Zastanówcie się jednak, czy to nie będzie z ujmą dla waszej własnej językowej gospodarki. Macie w nas przykład, że jeden taki cudzoziemiec, gdy potomstwo swoje różnemi stronami do was przyśle, może spełniać sześć rozmaitych obowiązków, a jeśli nas nie stanie, to czyż się pogodzicie, komu te obowiązki powierzyć?... Są między nami takie osobniki, które we wszystkich krajach świata mają prawo obywatelstwa. Filozof, fizyk, matematyk, astronom, fotograf, telegrafista, medyk, doktór, chirurg, to nie są w żadnym kraju cudzoziemcy, to są obywatele świata. Tym nawet nie wszystkim doręczyliście rozkaz wydalenia— jeśli zaś ich pozostawicie, a wydalicie innych, to cóż się stanie ze sprawiedliwością?...

Mnie się zdaje, prześwietny sądzie, że cudzoziemcy mają prawo bytu na obczyźnie, byle tylko stosowali się bezwarunkowo do miejscowych praw i przepisów. A czyż my się nie stosujemy? czyliż kodeksów waszej deklinacji i koniugacji, waszej składni, waszej całej gramatyki nie uznajemy?...

Czyliż niektórzy z nas, np. ja, którego nazywają mistrzem, albo ten balwierz co mnie goli, albo niezmierne mnóstwo innych nie zmieniliśmy się tak, że nas pierwszy rzut oka od krajowców nie odróżni. Któż posądzi mego stryjecznego brata ochmistrza, że jest niemcem Hofmeistrem, lub po mym bratanku burmistrzu pozna, że jego przodkiem był szwab Bürgermeister?... Takich przykładów zasymilowania się, zlania z wami mógłbym wyliczyć setki i tysiące. Aby nas odjąć od waszego ciała potrzeba operacji chirurgicznej, czyż się na nią dobrowolnie skażecie?

Nie, prześwietny sądzie, jesteście w błędzie i wasz dekret wydalający jest na mylnej podstawie oparty, a dla was samych szkodliwy. Niektórzy z nas są rzeczywiście zbyteczni i zabierają chleb krajowcom, ale większość jest przydatna i pożyteczna. Mając profesora obok nauczyciela, możecie użyć ich obu i profesorem mianować nauczyciela starszego, a nauczycielem młodszego. Skorzystacie na tym podziale pracy, bo sobie oszczędzicie używania przymiotników i określeń. Tak samo czynność obrońcy podzieliliście między mecenasa, adwokata, patrona i obrońcę, a każdy z nich ma dość zajęcia i na brak klijenteli się nie skarży. Wasz obrońca wyraża tylko jedno, zestawiony z patronem, adwokatem i mecenasem wyrażają cztery odcienia odrębne, na wyrażenie których znowu potrzeba byłoby długich określeń.

Wierzajcie mi, prześwietny sądzie, że nie wyrazy obce krzywdę wam wyrządzają, ale zwroty i frazesy cudzoziemskie. Warownią języka nie są słowa, które się po nim przechadzają, lecz wały i mury jego składni, jego szyku właściwego i rządu. Między nami, wyrazami obcemi, jest mnóstwo takich, które mogą, powinny, a nawet muszą i będą musiały zostać, a za to między mniemanymi krajowcami znalazłoby się dosyć takich, które trzeba wygnać, bo to są przebrani i szkodliwi cudzoziemcy. Sąsiedzi i pobratymcy wasi, czesi, wielu takich nawpuszczali do siebie. Zdaje im się np., że kiedy powiedzą *veselohra*, to mówią bardziej po czesku niż gdyby powiedzieli *komedja*, tymczasem wyrzucają wyraz grecki, żeby wprowadzić dwa, czeskie wprawdzie, ale zestawione w duchu niemieckim, tłumaczące dosłownie niemieckie *Lustspiel*. I wy w taki sposób grzeszycie i między wami są cudzoziemcy poprzebierani, szkodliwsi od jawnych...

W audytorjum wszczęła się wrzawa:

— Prosimy o dowody! prosimy o przykłady!— wołano.

Mistrz zwrócił się do jednego z najbardziej hałasujących.

— Kto pan jesteś?—zapytał.

— Listonosz—brzmiała odpowiedź.

— No, to sam jesteś najlepszym tego przykładem. Chodźcie no tu na świadki panowie Woziwodo i Dusigroszu. Dwóch świadków dosyć. Panie Gryzipiórko i poco się pan tłoczysz? Pędziwiatrze, Świszczypałko, Kopcidymie, Urwipołciu, Łupiskóro, precz! obejdzie się bez was. Otóż, prześwietny sądzie, moi świadkowie nie udają polaków, tylko są polakami, a listonosz jest tylko przebranym z polska *Briefträgerem*, i gdyby był polakiem, toby się nazywał „nosilistem" na wzór i podobieństwo powołanych świadków. Pisał o tem niedawno we Lwowie p. Platon Kostecki, a ja za nim tylko powtarzam, bo sam, jako także przybysz z obczyzny, oskarżeń rzucać nie myślę.

Listonosz krzyknął oburzony:

— Protestuję, biorę na świadki wierszoroba i głodomora, że jesteśmy nieposzlakowani krajowcy.

— Wyrzucić! wyrzucić!—wołali jedni.

— Zostawić! ma dwóch świadków!...— krzyczeli drudzy.

Najstarszy sędzia naradził się z towarzyszami i wydał rozkaz:

— Woźny, przyprowadź świadków listonosza!

Zaczęto szukać. Okazało się, że wierszoród i głodomór są i byli od wieków tylko jedną osobą.

Brakowało drugiego świadka, sąd zatem orzekł, że listonosz ma być wyrzucony wraz z wierszorobem.

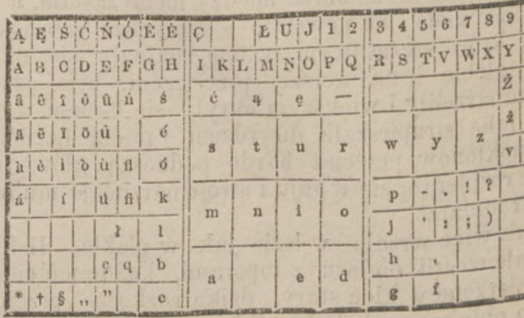
W mgnieniu oka wyrok wykonano i biedny listonosz ponad głowami obecnych, z rąk do rąk podawany, za drzwi wyleciał. Niech się jednakże nikt o niego nie lęka, nie potłukł się bynajmniej i dzisiaj jeszcze zgłosi się do każdego po kolendę. Już mu wierszoród powinszowanie napisał.

Mistrz skłonił się sądowi i zapytał:

— A my, prześwietny sądzie?...

— Wy, pod warunkiem przestrzegania naszych praw i przepisów, zostańcie do dalszego rozkazu.

Wł. Sabowski.



Przed nami kratka jakaś dziwaczna.

Z olbrzymiej liczby czytającego ogółu, szczupła zaledwie garstka wtajemniczonych znaczenie owej alfabetycznej łamigłówki na pierwszy rzut oka odgadnie.

Dla reszty będzie ona nierozwiązalną zagadką.

A jednak warto się tej łamigłówce przypatrzeć.

Po prawej od góry liczby. Tak, po prawej i u góry, bo dzisiaj liczby górują nad wszystkiem i one stanowią prawo.

Resztę miejsca po lewej stronie u góry, oraz następny rzęd cały wielkie zajmują głoski. Od nich się wszelki tytuł zaczyna, a więc i one zaczynają to dziwne zbiegowisko głosek.

Poniżej, pod dwiema warstwami arystokracji z dodatkami i bez dodatków, rozsiadł się plebs abecadłowy. Cudzoziemskie akcentowane samogłoski z brzega (wszakże tak chętnie wszędzie cudzoziemcom ustępujemy pola!) swojskie zaś głoski, czując się u siebie w domu, obszerniejsze za to pozajmowały przestrzenie. Po prawym boku pacholęta ortograficzne: kropki, przecinki, nawiasy, średniki, które nic nie znaczą same przez się, ale potrzebne są w piśmie jak okrasa do kaszy, sos do pieczeni, nadzienie do indyka lub rodzynki do ciasta. W tamtych jest treść pożywna, a w tych smak cały.

Otóż i wszystko.

Czemże jest cała ta alfabetyczno-arytmetyczna republika?

To kolebka wszelkiego drukowanego słowa, to tak zwana „kaszta" drukarska.

Mickiewicz pisząc „Pana Tadeusza", snuł go jak pająk pajęczynę z głowy swojej i serca; zecer, patrząc na rękopism, wydobył ten sam poemat z tego drewnianego pudła, podzielonego na mniejsze i większe przegródki.

Tak samo ztąd wychodzi i w tysiączne egzemplarze się mnoży natchniona pieśń, która wzięła początek w genjuszu każdego poety, w badawczym umyśle uczonego, w poważnej zadumie myśliciela, w uśmiechu humorysty, w głębokich kombinacjach politycznych męża stanu.

Ustrój kaszty jest bardzo prosty.

Literom, które większe w piśmie mają zastosowanie, pozostawiono więcej miejsca i starano się umieścić je jak najbliżej, pod ręką — oto cała tajemnica układu.

Pewna liczba przegródek nie ma żadnych znaków w powyższej tablicy, nie są one jednakże próżne. Jest to guttenbergowski instytut głuchoniemych i ociemniałych. Mieszczą się tam czcionki nieme i ślepe, ale mimo to pracowite i pożyteczne. Służą one do oddzielania wyrazów i ustępów w piśmie, przyczyniają się zatem do jego zrozumiałości i piękności.

Z kaszty, a właściwie pudła, każdy zecer wybiera codzień po kilka, a nawet kilkanaście tysięcy czcionek, składa je w wyrazy, wyrazy w wiersze równe formuje, wiersze w łokciowe szpalty wydłuża, ze

szpalt kolumny foremne tworzy, aby następnie z tych kolumn powstała księga mająca przetrwać wieki, lub dziennik, któremu przeznaczono istnieć do jutra.

Takiej kaszcie *Kurjer* codziennie świeżą swoją sukienkę, jej zdolny pisarz swą popularność, jej całe zyski wydawca, a zecer chleb swój zawdzięcza.

E. Skowroński.

Podług CARMEN SYLVA

(Królowej rumuńskiej).

Co winna temu burza,
Że wszystko w koło niszczy?
Co winno wściekłe morze,
Że huczy, wyje, świszczy?

Co winien człowiek biedny,
Że gdy go szatan kusi,
Wśród burz i namiętności
Tak strasznie cierpieć musi?...

Bruksella 9 grudnia 1885 r.

Henryk Merzbach.

PAWEŁEK.

W historji wielkich wojen przechodzą do potomności waleczne czyny armji lub dowódców, których nazwiska następne pokolenia ze czcią wspominają—imiona zaś szeregowców toną w morzu niepamięci i nikt o nich nie wie, chociaż sam fakt bohaterskiego czynu bywa często notowany.

Tak samo dzieje się z waleczną strażą ogniową w Warszawie, która w swoim rodzaju stanowi od pół wieku armję, różniącą się od innych armij tem, że zawsze bez wytchnienia musi pozostawać na stopie wojennej.

Ogień bowiem jest to nieprzyjaciel, z którym nie ma żadnego rozejmu, który zawsze pierwszy i zawsze niespodzianie atakuje.

W walce z takim nieprzyjacielem odznaczają się tak dowódcy jak i szeregowcy, a historjograf straży warszawskiej w półwiekowem jej istnieniu znajdzie fakta bohaterskich poświęceń i dowody szalonej odwagi.

Lecz i tu najczęściej pamięta się o dowódcach—nazwiska szeregowców idą w zapomnienie.

Jeden epizod odwagi bohaterskiej strażaka zaznaczamy na tem miejscu, ale nazwisko bohátera nie zostało nam wskazane.

Opowiadający nam fakt niniejszy utrzymuje, że młody strażak nie miał żadnego nazwiska i znano go tylko pod imieniem Pawełka.

Jest to bardzo prawdopodobnem, Pawełek bowiem był wychowańcem domu podrzutków.

Wstąpił on do straży jako ochotnik w r. 1848-ym i swoją powierzchownością, sprytem, szaloną odwagą przy pożarach, zyskał odrazu względy przełożonych i sympatję kolegów.

Dzielność Pawełka nigdzie się jednak tyle nie uwydatniła, jak w czasie pamiętnego dla Warszawy pożaru w r. 1850-ym, dnia 15-go sierpnia.

Był to jeden z największych pożarów, jakie dotknęły nasze miasto w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu.

Ogień wybuchnął w południe, w fabryce braci Evansów, przy 27-u stopniach upału, i w ciągu ośmiu godzin zniszczył całą ulicę Koźlą, część Zakroczymskiej, Świętojerskiej oraz przyległych.

Między innemi na Koźlej zapalił się zajazd Płocki, mieszczący się na posesji książąt Czetwertyńskich.

Właśnie w tym punkcie znajdował się ze swoim oddziałem Pawełek, który z toporkiem w ręku pierwszy rzucił się do rozrąbywania wysokiego parkanu.

Nagle w podwórzu posesji zjawia się jakaś kobieta z miasta przybyła wołając:

— Tam w murze na poddaszu zostawiłam moje dzieci... ratujcie moje dzieci!

— Ależ wszyscy dom opuścili i dzieci z pewnością wyszły—tłumaczy ktoś z miejscowych.

Matka jednak nie łudzi się tą pociechą i rozpaczliwie woła:

— Ratujcie moje dzieci!

Usłyszał to Pawełek i bez namysłu, porzuciwszy parkan, biegnie po drabinę, którą przystawia do płonącego domu i ku przerażeniu wszystkich obecnych wdrapuje się w górę.

— Wstrzymaj się warjacie! — woła kapitan, nie pojmując, aby można dostać się żywemu człowiekowi do wnętrza objętego już płomieniami domu.

Pawełek pierwszy raz zapewne nie posłuchał rozkazu dowódcy i zniknął w dymie.

Nastąpiła chwila oczekiwania, która dla wszystkich była wiekiem.

Wkrótce i drabina płonęła, a wśród dymu ujrzano w oknie szczytowem Pawełka z dwojgiem dzieci na rękach.

Bohater nasz rzucił dzieci na płachty, które podtrzymywało kilku ludzi, sam zaś zeskoczył.

Był też czas wielki, bo w minutę później, dach i piętro zapadły się i dostęp do budynku stał się niemożebny.

Dzieci były omdlałe, ale żyły, Pawełek zaś został straszliwie poparzony i złamał nogę.

Jedno z tych uratowanych dzieci pozostaje do dziś dnia przy życiu.

Jest to p. Feliks Michałowski, rządca dóbr Lubień w kieleckiem.

Matka uratowanych dzieci chciała Pawełkowi oddać połowę majątku, strażak nie przyjął jednak ani grosza.

Poświęcenie swe przypłacił kilkomiesięczną chorobą i służbę opuścił.

Dalsze losy Pawełka nie są nam wiadome.

Wiemy tylko, że w trzynaście lat później przebywał u p. Michałowskiej na wsi i tam długo chorował.

Na cmentarzu parafjalnym w miasteczku Małogoszczy znajduje się grób cichego bohatera, a na kamieniu grobowym, który położyła wdzięczna matka, dziś jeszcze można odczytać napis:

Pawełek, wybawca moich dzieci z pożaru w Warszawie d. 15-go sierpnia 1850 r."

Antoni Skrzynecki.

Ostatnie słowo.

Pełen radości opuszczałem kraj przed rokiem.

Pożerany ogniem ciekawości i wiedzy, dążyłem w świat szeroki, by poznać ludzi, ich zwyczaje i ich dorobek...

Podziwiałem wspaniałość Paryża, zdumiewałem się ogromem Londynu, poznałem Belgję, Holandję i Niemcy, zachwycałem się cudownym Renem i niebotycznemi szczytami Alp szwajcarskich, unosiłem się pięknem natury boskiej Italji...

Wracałem z tęsknotą w sercu za krajem.

Niektóre wrażenia z podróży przelałem na papier, dzieląc się niemi z czytelnikami *Kurjera warszawskiego...*

Dodam tu do nich *ostatnie słowo:*

Śliczne są obce kraje, ale ziemia ojczysta droższa nad wszystko!...

W. J. Stankiewicz.

SIEROCA DOLA.

Grzebano matkę! A sieroty swoje
Rzuciła ona na życiowe boje
Drżące, samotne, ubogie, zgnębione,
I przez najbliższych nawet opuszczone...
Nikt im nie liczył już długich dni życia;
Dłoń, co czuwała nad niemi z powicia,
Leży bezwładna wśród grobowej ciszy,
Oczy śród których żadna myśl nie świeci
Patrzą się martwo na żal biednych dzieci,
A serce skargi sierocej nie słyszy.

Któż się dziś ujmie za ich krzywdą srogą?
Kto dłoń przychylną wyciągnie w potrzebie,
I na tem czarnem, bez nadziei niebie
Roznieci bodaj jedną gwiazdkę błogą?
Czekają! Próżno!... Daremne marzenia!
Czas płynie—smutnej doli nic nie zmienia..

Poszły sieroty same w świat daleki,
Nikt im nie wskazał kędy drogą życia
Można uniknąć cierni lub rozbicia,
Nikt im łez gorzkich nie otarł z powieki.
W koło nich tłumów obojętna rzesza
Płynie, jak fala wzburzona i drżąca,
Chłodem odstrasza, lodami odtrąca...
Płaczą sieroty—jedno ich pociesza,
Że tam, gdzie gwiazdki promienne migocą,
Jest ktoś, co czuwa nad dolą sierocą.

Tak wznosząc w górę i serca i oczy,
Dążą wciąż wyżej drogą pełną trudów,
Myśl ich odkrywa całe światy cudów,
Przyroda wdzięk swój odsłania uroczy,
A walka uczy, jak pić z gorzkiej czary
I jak się ostać przed nowym zawodem...
Przy tem, głęboko w swojem sercu młodem
Każde z nich chowa jakieś ziarnko wiary...
To jest jedyna spuścizna po matce,
Więc choć nadziei promyk blado świeci,
Choć jak ptaszętom trudno wyżyć w klatce,
Wierzą, że Pan Bóg ocali swe dzieci!

Niejawna.

U STÓP MADONNY.

(Myśl z kartonu C. B. Jankowskiego, p. t. „Żywa ofiara").

Biegła, tuląc pod dziurawą chustką owiniętą w płachty dziecinę. Nad nią wisiał kawał nieba czarnego, kołysały się szamotane wichrem suche gałęzie drzew, a zdala jaśniał płomyk światełka, wspinającego się wysoko po odrapanych zimnych murach.

Na ulicy dawno zamarły tętna życia, dawno rozpierzchł się blask dzienny. Szalona walka wichru z zawieszonemi gdzieniegdzie szyldami, zgrzytem swym i wyciem przejmowała atmosferę grozą. Zda się tysiące niedomówionych przekleństw i bolesnych skarg niósł na swych skrzydłach wiejący mocarz i przewijając się przez bladawy promyczek światła, kładł je u stóp Madonny.

Madonna stała blada, nieruchoma, przykuta do murów kościelnych, zlekka oświecona latarnią, porzucona wśród głuchej ciszy i czarnej nocy...

Kamienne jej oblicze i kamienne oko spoglądało w maluchną dziecinę, którą ręce do piersi cisnęły.

I gdy wiatr mocniej zawiał, gdy silniej i żałośniej się poskarżył, chyliła swe oblicze i migocące światło biegło gdzieindziej — a ona w mroku tonęła...

Ku niej dążyła w łachmany odziana kobieta i u jej stóp stanęła. Zaczerwienione, opuchłe oczy posłała do góry, wynędzniałe jej ciało konwulsyjnie zadrgało, a wychudłe osłabione nogi zrobiły ruch, by uklęknąć...

Gdzieś na oddalonej wieży zegar wybijał godziny.

Zatrzymała się i na pół przegięta obejrzała się w koło.

Nagle chude, zabrukane ręce wyjęła z pod chusty i szybkim ruchem złożyła na kamiennej płycie uśpione niemowlę. Zrzuciła z siebie zwierzchnią spódnicę, trzęsącą się dłonią otuliła nią owoc swego występku i w wściekłym pędzie pomknęła dalej.

Bez pamięci przesadzała rynsztoki, biegła po wystających, kolących kamieniach i zdawało jej się, że wszystkie te olbrzymie domy, wszystkie te wspaniałe wieżyce kłonią się ku niej i chcą ją swym ciężarem przydusić; że te ciemne, posępne mury szepcą jej słowa przekleństw, i nawołują, i grożą...

Z huraganem, co chustą jej wywijał i wysoko ponad głowę unosił, do oczu jej przybiegało tęskne, rozpaczliwe kwilenie. W tej zabójczej, a zarazem smętnej melodji wichru słyszała łagodne tony dziecięcego głosu, słyszała słowa słodkie i bojaźliwe, słowa, które dotąd nigdy jeszcze nie obiły się o uszy nędzarki...

— Matulu!... matulu!... matulu!... — śpiewał wicher i wyciągał trele coraz wyższe, coraz potężniejsze, coraz silniej raniące skalane matczyne serce...

. . . .

A na twarzyczkę dziecięcia spłynęła mglista aureola jasności. Zrodzonemu na śmietniku przyjrzał się blady miesiąc, co na chwilę z pod czarnej chmury się wysunął, by znowu w niej zginąć — i Madonna sen mocny, spokojny zsyłała...

Ursyn.

GWIAZDA.

Jest jedna gwiazda, co na niebios fali
Czarodziejskiego gmachu cudów strzeże,
W szlachetnych piersiach święte ognie pali,
W odmęty bitew prowadzi rycerze,
I na zmęczonych tłumów czole bladem
Świetlanych blasków jasny kładzie djadem

Poczęta w głębi człowieczego ducha,
Którego ludziom dał błękitów książę,
Jest jednem z ogniw złotego łańcucha,
Co strop niebieski z doliną łez wiąże.
Ten, kogo blaskiem ta gwiazda oprzędzie,
Może być w niebie, choć na ziemi będzie...

Gdzie na mogiłach boleją cyprysy,
Tam świeci, smutna, jak anioł żałoby,
Na trumnach ryje mistyczne napisy
I sypie kwiaty na przegniłe groby,
Aż zniewolone tajemniczą władzą
Trumny, zagadkę przyszłości oddadzą...

Komu ta gwiazda przed oczyma błyśnie,
Niechaj ją wita z pochylonem czołem,
On między niebem i ziemią zawiśnie,
I nie człowiekiem będzie, nie aniołem,
Lecz wszechświat innem już ogarnie okiem
I duchem innym... on będzie prorokiem...

Jest jedna gwiazda... ci, którzy w nią wierzą,
Przejdą bez szwanku, wśród pożarnych dymów,
Braterskie waśnie zgłuszą i uśmierzą,
Silni potęgą mytycznych olbrzymów—
I całe życie przemarzą i prześnią...
Jest jedna gwiazda... nazywa się... pi[illegible]

BUDZIK.

Stan naszego handlu przedstawia się w nader smutnych kolorach.

Zboże ginie pod uciskiem kosztów roli i produkcji, ceł niemieckich i obdłużenia majątków ziemskich, nie mówiąc już o wielkości nagromadzonych zapasów.

Mąka krajowa drży pod napływem towaru, popartego taniością produkcji i siłą kapitału obszerny kredyt udzielać mogącego.

Bydło sprzedaje zaledwie kilkunastu spekulantów, trzymających w zależności całą dostawę.

Wełna przy coraz trudniejszych warunkach produkcji — widzi się w przededniu nałożenia cła ze strony Niemiec, które trzecią część wytworu kraju naszego w tym kierunku pochłaniają.

Okowity nie sprzedaje się u nas —kupują ją tylko... dystylatorowie, na łasce swej trzymając producentów.

Cukier przygniotła nadprodukcja.

Chmielarzy naszych zwyciężają bawarczycy i czesi, udzielając kredyt półtoraroczny i w dodatku pożyczając pieniędzy na przerób danego na kredyt towaru.

W drobnym handlu mamy manję narodową naśladownictwa, która naprzeciw jednej cukierni cieszącej się powodzeniem każe założyć drugą, i obok trzecią, naprzeciw jednego bazaru drugi, naprzeciw jednej jadłodajni, drugą, trzecią i czwartą.

Brak nam banku hypotecznego, banku włościańskiego, banku technicznego i banku przemysłowego.

Nie mamy żadnych instytucyj pomocniczych, nie wiemy sami, cobyśmy robić mogli i nie mamy nikogo, coby nas tego nauczył.

Nowych dróg handlowych i rynków zbytu szukać nie umiemy, a jeśli się nam same otwierają, jak np. wschód Azji, wyzyskać ich nie mamy siły i zdolności.

Do tego wszystkiego, pieniądz u nas jest dwa do trzech razy droższy niż na wszystkich rynkach zagranicznych — i drogość swą zabija wszelkie porywy dobrych chęci...

Czy jest na to jaki ratunek!?...

Jeśli jest — to śpieszyć należy, bo go niezadługo niestanie!..

Ocknijmy się!...

J. Włoskiewicz.

TY JEDNA!...

Ty prawdo jedna, pośród walk i burzy,
Gdy przyszłość ludów w falach dziejów tonie,
I gdy im wszystko straszną nicość wróży,
Ty jedna zbawcze podajesz im dłonie!...

I jesteś dla nich nadziei aniołem,
Bo wszechpotężna, bez skargi i trwogi,
Stajesz promienna nad ziemskim padołem,
I odrodzenia ukazujesz drogi!

Nie wątpcie!—wołasz w proroczym zachwycie
Lecz budźcie wszystkie serca i umysły,
By ludom nowe zaświtało życie
I lepsze dzieje dla wszystkich zabłysły!...

Hugo Wróblewski.

NIE-BAJKA.

Były sobie dwa narody,
Mogły użyć bez przeszkody
Swobody.
Bo na jedną je rodzinę
Urobiło słowo Boże,
Miały gulasz, baraninę,
Miękkie gunie, ciepłe łoże,
I orały ziemię własną
Sobie tylko i dla siebie...
Lecz im było na tej glebie
Za ciasno.

Co jednemu z nieba spadnie,
Drugi woła: „On mnie kradnie
Szkaradnie!
Ja poniosłem ciężkie trudy,
By zawładnąć kraju szmatą,
On wlazł tylko w szkodę; za to
On weiąż tyje, a ja chudy."
Ale śladem Termopilan
Kneź bułgarski murem staje,
Choć nań zbrojne wiedzie zgraje
Król Milan.

A więc gniewem wrąc bez miary,
Porwali się: młody, stary
Za bary...
I z tej drobnej, nędznej hecy
Bratobójcze wzrosły boje,
Ten wziął po łbie, ten przez plecy:
Masz za swoje! Masz za swoje!...
Zapomnieli, że w tem dziele
Inny mąkę sobie zmiele,
A na nich się zawsze skrupi...
Oj głupi!

Aż tu zgorszon ich niecnotą
Krzyknie z boku ktoś: „Hołoto!
A co to?
Toż swobody waszej święto?
Będziecie się wodzić w tany,
Jak zajadłe dwa brytany,
Z których łańcuch świeżo zdjęto?!"
Tylko mądrość, zgodność, praca,
Wyswobodzić mogą ludy...
A kto chce być psem, niech wraca
Do budy.

Wacław Szymanowski.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

2	2	5	9	5	4
				5	
			2		
		3			
	6				
2	0	9	1	0	4

Uczeń wykonał zadanie mnożenia dwóch liczb i zostawił je na stole. Młodszy jego braciszek, wyciął z papieru, na którym zadanie było odrobione, literę **Z** w ten sposób, że ta obejmowała całkowity pierwszy iloczyn cząstkowy, końcowe cyfry następnych iloczynów i część całkowitego iloczynu.

Wynaleźć mnożną, mnożnik i brakujące cyfry iloczynów.

St. Dzierżanowski.

SZARADA.

Kto nie czyta choć w gazecie
Co czytania warte,
Tego *druga, pierwsze trzecie,*
Ciągle *pierwsze czwarte.*
Wiedzą karmi się z zapałem
Zastęp czytelniczy,
Więc mu *wszystkich* sercem całem
Świat piszący życzy.

J. A. Zygmunt.

Telegramy handlowe.

Berlin 31-go grudnia *(notowanie urzędowe giełdy).*

Bil. ban. ros. w tr. nat.	200.50	Akcje kredytowe .	486.—
Weksle na Warszawę	200.20	Listy zast. ser. I-ej	60.20
Wek. na Peters. krótk.	199.90	Weksle na Lon. krótk.	20.33
Wek. na Peters. dług.	198.80	„ „ „ długot.	20.22
Bil. ban. ros. na dost.	201.25	Żyto z dost. na jesień	130.50
Wschodnia poż. II em.	61.60	Żyto na wiosnę. .	133.—

— **W miejsce powinszowań noworocznych złożyli w redakcji** *Kurjera warszawskiego:*

Dla najbiedniejszych:

Franciszek Cywiński rs. 1, Simon i Stecki rs. 3, Jan Samkowski, rejent, z żoną rs. 3, Antoni i Karolina Kochanowscy rs. 2, Maksymiljan Jellinek rs. 5, Kazimierz Tyszyński rs. 3, K. Lerowski rs. 1, Władysław Jarocki rs. 3, Eugenja Piotrowska rs. 5, Teodor Hertzler rs. 1, Bernard i Marja Hantkowie rs. 10, D. Grossman rs. 2, Kazimierz Łapczyński rs. 1, Władysław Trzciński z żoną rs. 1.

Na wpisy dla niezamożnych uczniów:

Juljusz Ksawery Hildt rs. 3, Eligjusz Michalecki, inżenier, rs. 2, Stanisław i Eleonora Szpakowscy rs. 1, Teodor Trenkler rs. 3, H. L. Malhomme rs. 1, Bolesław i Izabella Horodyńscy rs. 2, Szymon Methal rs. 1, dr Teodor Anders rs. 3, Piotr, Celestyna i Klementyna Samborscy rs. 5.

Na szkołę rzemiosł przy ulicy Jasnej:

Profesor Jurkiewicz rs. 3, Ludwik Franciszek Kozłowski, inżenier, rs. 2.

Na budowę domu dla szkoły rzemiosł:

Rafał Felsenhardt rs. 1.

Na budowę gmachu dla Tow. zach. sztuk pięknych:

Maksymiljan Fajans z żoną rs. 3.

Na kasę wsparcia wdów i sierot po lekarzach:

Dr Władysław Kryże rs. 3, dr Jan Gromadzki rs. 2, dr Strasburger rs. 3, dr Baum rs. 1, dr Aleksander Kosiński z żoną rs. 2, dr M. W. Olendzki rs. 3, dr Budkiewicz rs. 1, dr Meyerson rs. 1.

Na kasę wsparcia podupadłych farmaceutów:

Adam Łopaciński rs. 1.

Na podupadłych artystów muzycznych:

Władysław Hertz rs. 1.

Dla Towarzystwa dobroczynności:

Maksymiljan Rubinstein rs. 1, Władysław i Matylda Szwedowie rs. 3.

Na kasy rzemieślnicze:

Inżenier Czesław Tyszka rs. 2, Ferdynand i Franciszka Woronieccy rs. 3, Edward Warytkiewicz rs. 1.

Na szpitalik dziecięcy przy ulicy Aleksandrja:

Konrad i Honorata Kowalscy rs. 1 kop. 50, Wiktor Kronenberg z żoną rs. 10, Bernard Berson rs. 1.

Na Schronienie nauczycielek:

Tekla Kuczborska rs. 1.

Na przytułki nocne:

Wincenty i Kazimiera Szuwalscy rs. 1, Simon Herman z żoną rs. 2.

Na przytułki dla matek i dzieci:

Adwokat, Adolf Suligowski rs. 8, Stanisław Piotrowski rs. 5.

Na kościół na Koszykach:

Władysław Niedźwiecki rs. 1.

Dla instytucji jałmużniczej wstydzących się żebrać:

Zygmunt i Zofja Haukowie rs. 1, W. Andrychiewicz rs. 1, E. Paprocki z żoną rs. 3.

— *Sprostowanie.* — W nrze 360*a*, w dziale ofiar składanych w miejsce powinszowań noworocznych, skutkiem pośpiechu, zaszły następujące pomyłki: na warsz. Towarzystwo dobroczynności: zamiast „Daniel Żółtyński z żoną rs. 3" wydrukowano Żółtyński z żoną rs. 3, zamiast „Emil Gerlach" wydrukowano M. Gerlach; na wpisy dla niezamożnych uczniów: zamiast „adwokat Juljan Wejnert z żoną rs. 2" wydrukowano adwokat Juljan Wejchert z żoną rs. 2; co się niniejszem prostuje.

W drukarni *Kurjera Warszawskiego*.—Plac Teatralny nr 473c (nowy 9). Дозволено Цензурою—Варшава 20 Декабря (1 Января) 1885/6 r.
Redaktor Wacław Szymanowski. — Wydawca Gustaw Gebethner.

KALENDARZ NA ROK 1886.

STYCZEŃ.

20	1	**P.**	**Nowy Rok 1886.** Fulg. B.
21	2	S.	Makarego Opata.
22	3	**N.**	**Po Nowym Roku.** Dan. M.
23	4	P.	Tytusa i Grzegorza B.
24	5	W.	Telesfora P. i Emiljanny
25	6	**Ś.**	**Trzech Króli.**
26	7	C.	Lucjana M. i Teodora W.
27	8	P.	Seweryna Op.
28	9	S.	Marcjanny P. M.
29	10	**N.**	**1 po 3 Kr.** Agatona P. M.
30	11	P.	Hygina P. M. i Honoraty P.
31	12	W.	Arkadjusza M.
1	13	Ś.	*Weroniki Panny.
2	14	C.	Hilarego B. D. K.
3	15	P.	Pawła 1-go Pustelnika.
4	16	S.	Marcela Papieża.
5	17	**N.**	**2 po 3 Kr.** *Imienia Jezus.*
6	18	P.	Katedry Św. Piotra w Rz.
7	19	W.	Kanuta K. i Henryka B. M.
8	20	Ś.	Fabiana i Sebast. MM.
9	21	C.	Agnieszki P. M.
10	22	P.	Wincentego i Anast. MM.
11	23	S.	*Zaślubiny N. M. P.*
12	24	**N.**	**3 po 3 Kr.** Tymot. B. M.
13	25	P.	Nawr. Ś. Pawła Ap.
14	26	W.	Polikarpa B. M. i Pauli W.
15	27	Ś.	Jana Chryz. B. W. D. K.
16	28	C.	Flawjana i Leonarda MM.
17	29	P.	Fran. Sal. B. W. D. K.
18	30	S.	Martyny P. M.
19	31	**N.**	**4 po 3 Kr.** Piotra Nolas.

LUTY.

20	1	P.	†Ignacego B. M.
21	2	**W.**	**Oczyszczenie N. M. P.**
22	3	Ś.	Błażeja Bisk. M.
23	4	C.	Ansgarego i Andrzeja B.
24	5	P.	Agaty P. M.
25	6	S.	Doroty P. M. i Teofila.
26	7	**N.**	**5 po 3 Kr.** Romualda Op.
27	8	P.	Jana z Matty Wyzn.
28	9	W.	Apolonji P. Męcz.
29	10	Ś.	Scholastyki P.
30	11	C.	Lucjusza Bisk.
31	12	P.	Gaudentego B. Wyzn.
1	13	S.	Juljana M. i Eufroz. P.
2	14	**N.**	**6 po 3 Kr.** Walentego K. M.
3	15	P.	Faustyna i Jowity M.
4	16	W.	Juljanny P. M.
5	17	Ś.	Sylwina B. i Donata M.
6	18	C.	Symeona B. M.
7	19	P.	Konrada W.
8	20	S.	Eucherjusza B. i Leona B.
9	21	**N.**	**Starozap.** Maksymiljana B.
10	22	P.	K. ś. Piot. w A. i Paschaz. B.
11	23	W.	Piotra Damiana B. D. K.
12	24	Ś.	Macieja Apostoła.
13	25	C.	Sygfryda Bisk.
14	26	P.	Aleksandra B. i Fortunata M.
15	27	S.	Leandra Biskupa.
16	28	**N.**	**Mięsop.** Romana Opata.

* Oznacza dni galowe.
† Oznacza wigilje i posty.

MARZEC.

17	1	P.	Albina B. i Antoniny M.
18	2	W.	Heleny Cesarzowej.
19	3	Ś.	Kunegundy Cesarzowej.
20	4	C.	Kazimierza Królewicza.
21	5	P.	Teofila Biskupa.
22	6	S.	Wiktora i Wiktoryna MM.
23	7	**N.**	**Zapust.** Tomasza z Akwin.
24	8	P.	Jana Bożego i Beaty P.
25	9	W.	Franciszki Wdowy.
26	10	Ś.	* † *Popielec.* 40 Męczenników.
27	11	C.	Konstantyna Wyznawcy.
28	12	P.	Grzegorza Pap. D. K.
1	13	S.	Nicefora B. i Modesty P.
2	14	**N.**	***1 Wstępna.** Matyldy K. W.
3	15	P.	Longina Męczennika.
4	16	W.	Cyrjaka D. i Tacjusza M.
5	17	Ś.	†Gertrudy P. i Patryka B.
6	18	C.	Gabrjela Arch. i Cyrylla J.
7	19	P.	†*Józefa Obl. N. M. P.*
8	20	S.	†Archippa W. i Wincent.
9	21	**N.**	**2 Sucha.** Benedykta O.
10	22	P.	Boguchwała B. i Oktaw.
11	23	W.	Katarzyny Kr. Szw. P.
12	24	Ś.	†Marka i Tymoteusza M.
13	25	**C.**	**Zw. N. M. P.,** Ireneusza.
14	26	P.	Ludgiera Biskupa.
15	27	S.	Ruperta B. i Aleksandra
16	28	**N.**	**3 Głucha.** Syksta III.
17	29	P.	Cyrylla Djakona M.
18	30	W.	Kwiryna Męcz. i Angeli.
19	31	Ś.	Balbiny P. i Kornelli M.

KWIECIEŃ.

20	1	C.	Teodory M. i Hugona B.
21	2	P.	Franciszka à Paulo.
22	3	S.	Ryszarda B.
23	4	**N.**	**4 Srodopostna.** Izydora
24	5	P.	Wincentego Ferrerjusza
25	6	W.	Wilhelma Op. i Celestyna.
26	7	Ś.	Epifanjusza Biskupa.
27	8	C.	Djonizego Biskupa.
28	9	P.	Marji Kleofy.
29	10	S.	Ezechjela Proroka.
30	11	**N.**	**5 Biała.** Leona P.
31	12	P.	Juljusza P. i Damjana B.
1	13	W.	Hermenegilda Królew.
2	14	Ś.	Tyburcjusza i Walerjana.
3	15	C.	Anastazji i Bazylissy P.
4	16	P.	*Siedm. Boleści N. M. P.*
5	17	S.	Aniceta Pap. i M.
6	18	**N.**	**6 Kwietnia.** Apolonji
7	19	P.	Hermogenesa Męcz.
8	20	W.	Sulpicjusza Męcz.
9	21	Ś.	Anzelma B. D. K.
10	22	C.	*Wiel.* Sotera i Kaja M.
11	23	P.	*Wiel.* Wojciecha B. M.
12	24	S.	*Wiel.* Jerzego M. i Fidel.
13	25	**N.**	**Wielkanoc.** Marka Ewan.
14	26	**P.**	**Wielkanoc.** Marcellina.
15	27	W.	Teofila Biskupa.
16	28	Ś.	Witalisa M. i Pawła od Krz.
17	29	C.	Piotra M.
18	30	P.	Katarzyny Seneńskiej P.

MAJ.

19	1	S.	Filipa i Jakóba Ap.
20	2	**N.**	**Przew.** Zygm. Kr. i Atan.
21	3	P.	Znalezienie Ś. Krz. i Aleks.
22	4	W.	Florjana M. i Moniki Wd.
23	5	Ś.	Piusa V Papieża.
24	6	C.	Jana Ap. w Oleju.
25	7	P.	Domiceli P.
26	8	**S.**	**Stanisława B. M.**
27	9	**N.**	**2 po W.** *Grobu Chr. P.*
28	10	P.	Izydora Oracza i Antonina
29	11	W.	Mamerta Biskupa.
30	12	Ś.	Pankracego Męcz.
1	13	C.	Serwacego Biskupa.
2	14	P.	Bonifacego Męczennika.
3	15	S.	Zofji z 3-ma córkami.
4	16	**N.**	**3 po W.** *Opieki Św. Józefa.*
5	17	P.	Paschalisa Wyznawcy.
6	18	W.	*Feliksa Kap. i Eryka Kr.
7	19	Ś.	Celestyna P. i Iwona W.
8	20	C.	Bernardyna Sen.
9	21	P.	Donata i Wik. MM.
10	22	S.	Julji P. M. i Heleny P.
11	23	**N.**	**4 po W.** Dezyderjusza B.
12	24	P.	Joanny Wdowy.
13	25	W.	Grzegorza VII Papieża
14	26	Ś.	Filipa Nereusza W.
15	27	C.	*Magd. de Pazzis i Jana P.
16	28	P.	Germana i Augustyna B.
17	29	S.	Teodozji M.
18	30	**N.**	**5 po W.** Feliksa P. M.
19	31	P.	†Petroneli i Anieli P.

CZERWIEC.

20	1	W.	†Fortunata i Prokula M.
21	2	Ś.	†Blandyny P. M.
22	3	**C.**	**Wnieb. Pań.** Erazma B.
23	4	P.	Optata B. i Saturniny B.
24	5	S.	Bonifacego B. M. i Wal. M.
25	6	**N.**	**6 po W.** Norberta B.
26	7	P.	Roberta Opata.
27	8	W.	Maksyma B. i Medarda B. M.
28	9	Ś.	Pryma i Felicjana M.
29	10	C.	Małgorzaty Kr. Szkock.
30	11	P.	Barnaby Ap.
31	12	S.	Onufrego Pustelnika.
1	13	**N.**	**Zesł. Ducha św.** Antoniego
2	14	**P.**	**Świątecz.** Bazylego B. D.
3	15	W.	Wita i Modesta MM.
4	16	Ś.	†Benona B. i Just. P.
5	17	C.	Marcjana M.
6	18	P.	†Marka i Marcel. M.
7	19	S.	†Gerwazego i Protazego M.
8	20	**N.**	**Trójcy św.** Sylwerjusza P.
9	21	P.	Aloizego Gonzagi.
10	22	W.	Paulina Biskupa.
11	23	Ś.	Agrypiny P. M.
12	24	**C.**	**Boże Ciało.**
13	25	P.	*Narodzenie Św. Jana Chrz.*
14	26	S.	Jana i Pawła M.
15	27	**N.**	**2 po S.** Władysława Kr.
16	28	P.	†Ireneusza B. M.
17	29	**W.**	**Piotra i Pawła Ap.**
18	30	Ś.	Emilji i Lucyny Panien.

LIPIEC.

19	1	C.	Teodoryka Kapł.
20	2	P.	*Serca Jez. Nawiedz. N. M. P.*
21	3	S.	Heliodora i Anatol. B.
22	4	**N.**	**3 po S.** Józefa Kalas. W.
23	5	P.	Cyrylla i Metodego B.
24	6	W.	Dominiki P. M.
25	7	Ś.	Apolonjusza i Wilibalda B.
26	8	C.	Elżbiety W. i Kiljana B.
27	9	P.	Cyrylla B. i Anatola M.
28	10	S.	7 braci Męcz. Synów Fel.
29	11	**N.**	**4 po S.** *Jana z Dukli.*
30	12	P.	Jana Gwalberta Opata.
1	13	W.	Małgorzaty P. M.
2	14	Ś.	Bonawentury B. D. K.
3	15	C.	Rozesł Ś. Ap. i Henr. Ces.
4	16	P.	*N. M. P. Szkaplerznej.*
5	17	S.	Aleksego Wyzn.
6	18	**N.**	**5 po S.** Szymona z Lip.
7	19	P.	Wincentego à Paulo W.
8	20	W.	Czesł. W. i Eljasza Pr.
9	21	Ś.	Praksedy P. i Dan. Pr.
10	22	C.	Marji Magdaleny.
11	23	P.	Apolinarego B. M.
12	24	S.	Krystyny P. M.
13	25	**N.**	**6 po S.** *Kunegundy Kr.*
14	26	P.	*Anny Matki N. M. P.*
15	27	W.	Natalji P. M. i Pantal. M.
16	28	Ś.	Innocentego P. i Celsa M.
17	29	C.	Marty i Serafiny Panien.
18	30	P.	Abdona i Senneny P. M.
19	31	S.	Ignacego L. W. i Hel. W.

SIERPIEŃ.

20	1	**N.**	**7 po S.** Piotra w Okowach
21	2	P.	*N. M. P. Anielskiej.*
22	3	W.	*Znal. Ś. Szczep. M.
23	4	Ś.	Dominika Wyzn.
24	5	C.	*N. M. P. Śnieżnej.*
25	6	P.	*Przemienienie Pańskie.*
26	7	S.	Kajetana W. i Donata B.
27	8	**N.**	**8 po S.** Cyrjaka i Larga M.
28	9	P.	Romana Męcz.
29	10	W.	Wawrzyńca M.
30	11	Ś.	Zuzanny i Dygny P.
31	12	C.	Klary P.
1	13	P.	Hipolita i Kasjana MM.
2	14	S.	†Euzebiusza W.
3	15	**N.**	**9 po S. Wnieb. N. M. P.**
4	16	P.	Rocha Wyznawcy.
5	17	W.	Anastazjusza Bisk.
6	18	Ś.	Agapita M.
7	19	C.	Rufina Wyzn.
8	20	P.	Bernarda Op. D. K.
9	21	S.	Joanny Fremiot W.
10	22	**N.**	**10 po S.** *Jacka Wyzn.*
11	23	P.	Filipa Benecjusza Wyzn.
12	24	W.	Bartłomieja Ap.
13	25	Ś.	Ludwika Króla.
14	26	C.	Zefiryny P. M.
15	27	P.	*Przeniesienie Św. Kazim.*
16	28	S.	Augustyna B. D. K.
17	29	**N.**	**11 po S.** *Ścięcie Św. Jana.*
18	30	P.	Róży Limańskiej.
19	31	W.	Rajmunda W. i Rufiny P.

WRZESIEŃ.

20	1	S.	Idziego Opata.
21	2	C.	Stefana Króla Węgiersk.
22	3	P.	Bronisławy Panny.
23	4	S.	Rozalji Panarmitańskiej P.
24	5	**N.**	**12 po S.** *Joachima Ojca.*
25	6	P.	Zacharjasza Proroka.
26	7	W.	†Reginy Panny M.
27	8	**Ś.**	**Narodzenie N. M. P.**
28	9	C.	Gorgonjusza Męcz:
29	10	P.	Mikołaja z Tolent. W.
30	11	S.	*Piotra M. i Emiljana B.
31	12	**N.**	**13 po S.** *Imienia Marji.*
1	13	P.	Mauryljusza B.
2	14	W.	*Podwyższenie Św. Krzyża.*
3	15	Ś.	†Nikodema Kapł. Męcz.
4	16	C.	Cyprjana Biskupa.
5	17	P.	†5 blizn Św. Fr. i Just. M.
6	18	S.	†Józefa z Kopertynu.
7	19	**N.**	**14 po S.** Januarjusza B. M.
8	20	P.	Eustachjusza Męcz.
9	21	W.	Mateusza Apostoła i E.
10	22	Ś.	Maurycego M.
11	23	C.	Tekli Panny M.
12	24	P.	*N, M. P. od wyk. niew.*
13	25	S.	Aurelji P. i Kleofasa M.
14	26	**N.**	**15 po S.** *Ładysł. z Gieln.*
15	27	P.	*Przeniesienie Św. Stanisł.*
16	28	W.	Wacława Kr. Czesk. M.
17	29	Ś.	Michała Arch.
18	30	C.	Hieronima D. Kościoła.

PAŹDZIERNIK.

19	1	P.	Remigjusza Biskupa M.
20	2	S.	Aniołów Stróżów.
21	3	**N.**	**16 po S.** *N. M. P. Róż.*
22	4	P.	Franciszka Serafickiego.
23	5	W.	Placyda M. i Flawji P.
24	6	Ś.	Brunona Wyznawcy.
25	7	C.	Justyny Panny Męcz.
26	8	P.	Brygidy Wdowy.
27	9	S.	Bogd. Op. Djoniz. B. M.
28	10	**N.**	**17 po S.** *Winc. Kadłub. B.*
29	11	P.	Placydy Panny.
30	12	W.	Maksymiljana Biskupa.
1	13	Ś.	Edwarda Kr.
2	14	C.	Kaliksta Pap. Męcz.
3	15	P.	Jadwigi Wdowy i Teresy P.
4	16	S.	Florentyna B.
5	17	**N.**	**18 po S.** Wiktora B.
6	18	P.	Łukasza Ewangielisty.
7	19	W.	Piotra z Alkantary.
8	20	Ś.	*Przeniesienie Św. Wojc.*
9	21	C.	Urszuli Panny.
10	22	P.	Korduli P. M. i Alfonsa B.
11	23	S.	Jana Kapistrana.
12	24	**N.**	**19 po S.** *Jana Kantego.*
13	25	P.	Kryspa i Kryspjana M.
14	26	W.	Ewarysta Pap. M.
15	27	Ś.	Sabiny M.
16	28	C.	Szymona i Tadeusza Ap.
17	29	P.	Narcyza B. i Euzebji P. M.
18	30	S.	†Zenobji M. i Zenob. B. M.
19	31	**N.**	**20 po S.** Wolfganga B.

LISTOPAD.

20	1	**P.**	**Wszystkich Swiętych.**
21	2	W.	*Dzień Zaduszny.* Wiktor. B.
22	3	Ś.	Huberta B. i Wenefrydy
23	4	C.	Karola Bor. B. W. i Emeryka
24	5	P.	Zacharjasza i Elżbiety Mat.
25	6	S.	Leonarda Wyznawcy.
26	7	**N.**	**21 po S.** Wilibarda Bisk.
27	8	P.	Godfryda Biskupa.
28	9	W.	Teodora Męczennika.
29	10	Ś.	Andrzeja z Awelinu W.
30	11	C.	Marcina Biskupa.
31	12	P.	5 Braci Męcz.
1	13	S.	Dydaka Wyzn.
2	14	**N.**	**22 po S.** *Opieki N. M. P.*
3	15	P.	Leopolda Wyznawcy.
4	16	W.	Edmunda Biskupa.
5	17	Ś.	Salomei Panny.
6	18	C.	Maksyma Biskupa.
7	19	P.	Elżbiety Kr. Węg. W.
8	20	S.	Feliksa Walezjusza M.
9	21	**N.**	**23 po S.** *Ofiarow. N. M. P.*
10	22	P.	Cecylji Panny Męcz.
11	23	W.	Klemensa Pap. Męcz.
12	24	Ś.	Jana od Krzyża Wyzn.
13	25	C.	Katarzyny P. Męcz.
14	26	P.	*Piotra Aleksandr. B. M.
15	27	S.	Barlaama i Józefata Pust.
16	28	**N.**	**1 Adw.** Mansfeta i Rufa M.
17	29	P.	Saturnina Męczennika.
18	30	W.	Andrzeja Apostoła.

GRUDZIEŃ.

19	1	S.	†Eligjusza Bisk.
20	2	C.	Bibianny P.
21	3	P.	†Franc. Ksaw. W.
22	4	S.	Barbary P. Męcz.
23	5	**N.**	**2 Adw.** Piotra Chr. B. D. K.
24	6	P.	Mikołaja Biskupa Wyzn.
25	7	W.	†Ambrożego B. D. K.
26	8	**Ś.**	**Niep. Poczęcie N. M. P.**
27	9	C.	Leokadji P. M. i Walerji P.
28	10	P.	†*N. M. P. Lor.*
29	11	S.	Damazego P. W.
30	12	**N.**	**3 Adw.** Synezjusza M.
1	13	P.	Łucji Panny M.
2	14	W.	Spirydjona B. W.
3	15	Ś.	†Ireneusza Męcz.
4	16	C.	Euzebjusza B. M.
5	17	P.	†Łazarza B. M.
6	18	S.	*†Gracjana Bisk.
7	19	**N.**	**4 Adw.** Faustyny Wdowy.
8	20	P.	Teofila Męcz.
9	21	W.	Tomasza Apost.
10	22	Ś.	†Zenona żołn. i Flawjana.
11	23	C.	Wiktorji P. M.
12	24	P.	†*Wigilja.* Zenobjusza M.
13	25	**S.**	**Narodz. Chr. Pana.**
14	26	**N.**	**1 po N. Chr. P. Szczep M.**
15	27	P.	Jana Ewangielisty.
16	28	W.	Młodzianków.
17	29	Ś.	Tomasza Kantuar. B. W.
18	30	C.	Eugenjusza B.
19	31	P.	Sylwestra Pap. i Melanji.

Wykład znaków kalendarskich: Nów 🌑. — Pierwsza kwadra 🌓. — Pełnia 🌕. — Ostatnia kwadra 🌗.